

DAMSKI GANG

Vernon Sullivan



VERNON SULLIVAN (BORIS VIAN)

DAMSKI GANG

TYTUŁ ORYGINAŁU: ELLES SE RENDENT PAS COMPTE

PRZEKŁAD: MAREK PUSZCZEWICZ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przede wszystkim bale kostiumowe powinny zostać zakazane. Ogłupiają one wszystkich, a poza tym w dwudziestym stuleciu, człowiek nie jest już w takim wieku, by mógł się przebierać za sycylijskiego złoczyńcę czy diwę operową, tylko po to, by mieć prawo dostania się do ludzi, z których córką się spotyka — gdyż właśnie tutaj leżał pies pogrzebany.

Był to 29 czerwca, a nazajutrz Gaya miała wejść w wielki świat. W Waszyngtonie jest to niezły kawał harówki. Zaś ja, przyjaciel Gayi z dzieciństwa, coś w rodzaju mlecznego brata... sami rozumiecie. Stanowczo zmuszony byłem tam pójść — jej rodzice nigdy by mi nie wybaczyli.

Ale czyż Gaya nie mogła pojawić się w wielkim świecie, tak jak całe zainteresowane towarzystwo? W normalnej sukni wieczorowej? z chłopakami w smokingach? W końcu przy siedemnastce człowiek nie jest już w wieku stosownym, by wrzucić sobie na garba całą tę teatralną tandetę... do czego to podobne?

Nie zadawszy sobie trudu stawiania kolejnych pytań, w dalszym ciągu goliłem się przed powiększającym lustrem; te kwestie wystarczały mi całkowicie, już dostatecznie wyprowadziły mnie z równowagi. Miałem przed oczyma usta Gayi, ręce Gayi i całą resztę... a wszystko dostatecznie dobrze skonstruowane, by obejść się bez tej całej komedii.

Dobra. Gniew wzbierał we mnie coraz bardziej. Szkoda, że nie ma tu mojego braciaka, Ritchiego — poprosiłbym, żeby mi zmierzył ciśnienie. Studenci medycyny zawsze są zachwyceni, kiedy ich poprosić o taką przysługę. Wyciągają swoje niklowane przyrządy ze wskazówkami, tarczami, rurkami i liczą wam uderzenia serca, albo mierzą objętość płuc, a cała ta chińszczyzna nigdy nikomu do niczego nie posłużyła. Lecz zaplątałem się w moich rozmyślaniach. Powróciłem do Gayi.

Ech, sama tego chciała. Odstawię się za kobitkę. A wszyscy jej kolesie będą się kręcić koło mnie. Nawet moje imię, Francis, świetnie pasuje. Zrozumieją Frances i będzie po ptokach. Przez cały wieczór Gaya będzie sobie obgryzać paznokcie, że wydała bal kostiumowy. Jak gdyby dla niej najlepszym przebraniem nie był kwiatusek w zębach i jej piękna skóra na schabikach z wyłączeniem wszelkiego innego cudowania.

Z mego okna o podwyższonym zawieszeniu widziałem czubek statui Mc Clellana na skrzyżowaniu Connecticut Avenue i Columbia. Otworzywszy je nieco bardziej udawało mi

się dojrzeć flagę na fińskim poselstwie, między Wyoming Avenue a California Street. Ale nie dość wyraźnie. Oczy bołą. Zamknijmy okno. Powróciłem do mego lustra.

Wygolony dokładnie, miałem skórę tak gładką jak prawdziwa myszka; z ociupinką pudru będzie wyśmienicie. Jedyńm zmartwieniem był mój głos. Ba... kieliszek do gardziółka i żaden z tych cymbałów nie zwróci na niego uwagi. Najbardziej bawiła mnie myśl, że jakiś Bill czy Bob zaprosi mnie do tańca... ze sztucznym biustem mojej matki i w dobrych, obciślych slipach, nie ryzykowałem niczym, jeśli chodzi o objawy zewnętrzne... lecz nie mógłbym zabronić im trzymania mnie za boczki...

Jeśli chodzi o kostium, to nie nadszarpnąłem sobie szarych komórek. Suknia z koronki z radosnych lat 90, gorset, halka, czarne pończochy na podwiązkiach... botki z kozłej skóry, dzieci drogie... miałem to wszystko dzięki pomocy moich kumpli pracujących w teatrze.

Wypadałoby, żebym się przedstawił. Francis Deacon, po Harvardzie (ale złośliwie nie całkiem), wyposażony w specjalnie nadzianego tatusia i superdekoracyjną mamusię. Dwadzieścia pięć lat — siedemnaście na oko — złe towarzystwo, bokserzy, moczymordy, krzykacze, piękne damy, które kocha się za pieniądze, świetna partia. Raczej sympatyczny.

Wstręt do intelektualistów. Usportowiony. Sporty łagodne: judo, wolna amerykanka, jachting, nieco wioślarstwa, narty itd. Wygląd słabeusza — siedemdziesiąt pięć kilo i pięćdziesiąt sześć centymetrów w talii. Mamusia miała o jeden mniej. Ale masaże drogo ją kosztowały.

Usiadłem przed lustrem i pochwyciłem przedmiot, którym miałem zamiar sprawić sobie katusze. Gruba laska specjalnego wosku, zakupiona u Chińczyka, znajomka mamusi, który — jak twierdził — regularnie się nim posługiwał przy depilacji swych klientek.

Trzymając zapalniczkę w jednej ręce, a wosk w drugiej, potarłem kóleczkim, a niebieski płomyczek zaczął lizać półprzezroczysty stożek.

Topił się. Wyciągnąłem nogę i bęc! Przykleiłem paskudztwo do włosów, „szybko je rozprowadzając”, jak to radziła instrukcja.

Pięć minut później, powróciwszy do zmysłów, stwierdziłem, że jednak — skoro kosztowało mnie to kryształowy kandelabr i lustro o wymiarach dwa metry na dwa — lepiej byłoby udać się bezpośrednio do Chińczyka. Spojrzałem na zegarek. Miałem czas. Podniosłem słuchawkę. Do diabła ze skąpstwem.

— Halo! Wu Chang? Tu Francis Deacon. Ma pan wolną minutkę?

Oczywiście, odpowiedział, że tak.

— Przyjeżdżam! — zawołałem. — Za pięć sekund jestem u pana.

Jednak pięć sekund dla kulejącego faceta, to mało — zmarnowałem dziesięć!

ROZDZIAŁ DRUGI

Patrzac jak dziala Wu Chang, musialem obiektywnie stwierdzic, ze lepiej bylo oddac sie w rece specjalisty.

— Nie bedzie zadnych sladow? — zapytalem Wu Changa, wskazujac na karmazynowe miejsce po mojej pierwszej probie.

— Najmniejszych — odparl Chang. — Za piec minut cala reszta bedzie rownie czerwona, a po godzinie wszystko przejdzie.

Popatrzyll na mnie, lecz nie mozna bylo zgadnac, co myslil. Te zoltki znane sa z tego.

— Idę na bal kostiumowy — powiedzial mu. — I bede musial wlozyc ponczochy.

— Zaraz bedzie gotowe — odparl.

Rozprowadzal wosk i szybkim, precyzyjnym ruchem zrywal wlosy powleczone substancja, po czym podstawial palczke nad plomyk malego palnika gazowego — zaś moje tydki przypominaly grzbiet piezonego drobiu.

Po pol godzinie bylo po sprawie. Podziekowalem Wu Changowi, zaplacilem i wyszedlem. Troche mnie swedzialo — ale nie za bardzo. Czulem w kieszeni twarda kulę malego sloiczka kremu, który dostalem do smarowania nog. Zwawo przebiegalem dwa pietra i powrociłem do przerwanej toalety.

Nie bede wam jej opisywal dokladnie, lecz kiedy spojrzalem do lustra w lazience — o ile dobrze pamietacie, to w sypialni rozwalilem w kawalki — odnioslem wrazenie, ze, jezli sie nie powstrzymam, bede musial spedzic przykry kwadrans. Zakochalem sie w sobie — ot tak... dzieci drogie, gdybyście tak mogli ujrzec tę dziewczynę, która spogladala na mnie moimi oczami... a wszystko tam gdzie trzeba — bioderka, piersi (i to niezle, mamusia nie kupowala byle czego) i wyglad zdolny doprowadzic do szaleństwa wszystkich twardzieli z Bowery.

Patrzę na zegarek. Trwa to juz jednak trzy i pol godziny. Wlosek po wlosku, wyrwalem je wszystkie, puder — teraz rozumiem dlaczego ta niegodziwa Gaya kaze zawsze na siebie

czekać... Prawdę mówiąc, jeśli chcecie poznać moje zdanie, to i tak się nieźle spręża.

Jestem już na ulicy. Mam nadzieję, że nikt się nie zdziwi, widząc jak wsiałam do mojego samochodu, bo bez żartów, nieszczególnie przypominam Fancisa Deacona... Teraz już się nie gniewam na Gayę — wiem z pewnego źródła, że przebiera się za pazia — lecz przy jej biuście, możecie być pewni, że wszyscy się spostrzegą. Zaś ja, daję słowo, że ten, kto mnie rozpozna, sprawi mi wielką przyjemność i jestem gotów dać mu sto dolarów, zupełnie jak gdybym je miał.

Stary Cadillac tatusia — auto ma dwa lata, tatko dał mi go w prezencie kupiwszy sobie nowy — wiezie mnie ku Chevy Chase. Skręcam w Grafton i jadę Dorset Avenue. To dzielnica forsiastych, moi starzy również mają tu posiadłość, lecz ja jakoś dziwnie wolę mieszkać na mieście. Skręcam w prawo w jedną z dróg prywatnych. Przed domem Gayi stoi co najmniej sześćdziesiąt samochodów, a kilka parkuje w ogrodzie. Wpycham się pomiędzy Rollsa Cecilia, gościa z ambasady brytyjskiej, a starego Oldsa 1910, to na pewno wóz Johna Payne'a. Co za pomysł nazywać się John Payne. Panie, co za bryka!

Wysiadam. Pojawia się wielki Chrysler, który przyjechał sekundę po mnie, a widząc mnie facet mruga światłami, jakby go co najmniej Eros ustrzelił. Luz, peruka trzyma się nieźle, możesz mnie lustrować na wszystkie strony.

Zadzieram delikatnie suknię i wbiegam po trzech stopniach przedsionka. Pełno tu światła i hałasu, a muzyka gra. Zresztą obrzydliwa — w temacie muzyki Gaya nigdy nic nie kumała, byle było dostatecznie słodko i cześć.

Dokonuję entree. Jest już tam cała banda, z piętnastu sycylijskich zbójców, byłem tego pewien. Okazja do przewietrzenia wydekoltowanej bluzki, żeby pokazać myszkom po pieńsze, że ma się włosy na piersiach (bądź, że się ich nie ma) i po drugie, że Jezusek rozdzielając naturalne przymioty, nie zapomniał o was (bądź, że właśnie o was zapomniał, co jest równie użyteczne, gdyż są dziewczyny, które można tym przestraszyć).

Ja napinam solidnie tors, a moje fałszywe piersi tak z kolei napinają jedwab stanika, że o mało nie wybuchnie. Są solidnie wykonane, widać nawet odstające czubki. Działa jak się patrzy, jakiś skretyniały Robin Hood właśnie mnie poprosił i drżą mu ręce. To cholernie krępujące, dać się prowadzić innemu facetowi. Wymuszam na nim olbrzymi wysiłek, to zapewne z powodu „Miłosnego Wieczoru”, wylałem sobie na łeb cały flakon. Gość prawie zemdłał. Na szczęście płyta zatrzymuje się. Gaya jest tam, przy samym bufecie i patrzy na mnie złym okiem. Przebrana jest za pazia, cynk był dobry. Obok niej stoi gruby Lil'Abner, a z drugiej strony Superman, ważący jakieś trzydzieści pięć kilo... no, no, faceci są nieźle napakowani. Powiedziałem wam, że Gaya niezbyt jest zachwycona moim widokiem, faktem jest, że odnio-

słem coś w rodzaju sukcesu, a ona nie wie nawet, któż to taki. Podchodzę do niej. Znalazłem sposób, jak zagadać: głosem niskim i przytłumionym, lekko chrapliwym. Będę się zachowywał, jak bym był starą kumpelką.

— Hello, Gaya!... Jak się masz.

— W porządku — odpowiada... — kim jesteś? Nie poznaję cię.

— Za to ciebie — mówię — można rozpoznać natychmiast. Nie ma mowy, żeby cię wziąć za mężczyznę.

Być może posuwam za ostro. Jak te myszki gadają między sobą? Nie mam pojęcia. Na pewno też wstawiają sobie drętwą mowę, zresztą ona nie mrugnęła nawet powieką.

— Ty zaś, droga Flo, nawet nie próbowałaś podjąć ryzyka — mówi, patrząc na mój biust z fałszywą pogardą.

Śmieję się mile polechtany (-a). Tak więc jestem „Flo”.

— Och!... — odpowiadam — próbowałam wszystkiego, lecz nie udało mi się ich spłaszyc... wiesz, miałam taką straszną ochotę przebrać się za sycylijskiego zbójcę... lecz chyba mam tu tego za dużo.

— A mnie się udało — odpiera sucho.

Wielki facet w przebraniu Lil'Abnera obejmuje mnie.

— A co to? — pyta cichym głosem upewniwszy się, że Gaya nas nie słyszy. — Jesteś Florence Harman? Coś podobnego?!

— Owszem — odpowiadam. — Tylko mnie nie wydaj.

— Mowa... Jestem Dick Harman — odpowiada przyciskając mnie bardzo mocno — i niech mnie diabli jeśli nie zatańczę z własną siostrą. Zresztą...

Czerwienieje.

— Ona... nie tańczy tak dobrze, jak ty. Lecz jednak jesteś do niej dość podobna.

— A gdzie jest twoja siostra? — pytam.

Bo żabcia, przypominająca osobę, jaką ja jestem w tym momencie, interesuje mnie z całą pewnością. Osobnik nazwiskiem Harman wzrusza ramionami. Teraz go rozpoznaję, to jeden z chłopaków z uniwersyteckiej drużyny futbolowej, już go kiedyś spotkałem u Gayi.

— Florence jest głupia — mówi. — Popelniła to samo głupstwo co Gaya. Przebrała się za chłopaka. I przysięgam ci, że...

O, proszę, już z trudem przelęka ślinę.

— No — ciągnie dalej — to od razu widać... hm... podczas gdy u ciebie...

Śmieję się nadal, rozbawiona i bardzo filuterna.

— Co ty tam możesz wiedzieć? — mówię. — Być może jestem chłopcem.

Przyciska się do mnie czule. Do licha, jakież to nieprzyjemne, być czule przyciskaną przez mężczyznę. Nie dość, że drapie, to jeszcze zalatuje kremem do golenia. Niech żyją dziewczyny.

— A za co przebrała się Florence? — pytam.

— Chciała za Tarzana — odpiera.

Na takie dictum oblekam się w karmazyn.

— Udało mi się to jej wyperswadować. Przebrała się za francuskiego wielmożę w stylu Ludwika XIV czy XV, nie znam się na tych wszystkich cyfrach. Na wysokim obcasie. O, tam jest. Ta ruda. Z pluszową maseczką na twarzy.

Biedny Dick wygląda na okropnie zmieszanego.

— To okropne — mówi. — Ona zaprasza do tańca wszystkie dziewczyny. Sądzi, że biorą ją za mężczyznę.

— Gaya jej nie rozpoznała? — pytam. — Wzięła mnie za nią.

— Podcięła się trochę — mówi Dick. — A z tą maseczką, jeszcze trudniej ją poznać. Czy mogę cię prosić o następny taniec?

— Przedstaw mnie raczej swojej siostrze — mówię, stając się możliwie jak najbardziej pieszczotliwy. — Bardzo lubię dziewczyny.

Przygląda mi się szczerze zaskoczony i pełen dezaprobaty. Fuj! Każdy mężczyzna to kawał kretyna. Czule ściskam go za ramię.

— Bardzo proszę, Dick. Na imię mi Frances.

Chcąc nie chcąc rusza naprzód. Flo wygląda na zachwyconą, że udało jej się schwytać mnie w pułapkę. Musiała wcześniej podszkolić Dicka, gdyż ten odwraca się do mnie i mówi:

— Mój brat Johnny. Johnny, to Frances. Chciała cię bardzo poznać.

— Cieszę się ze spotkania... — mówi Flo-Johnny, patrząc na mnie miłośnie.

Ściskamy sobie dłonie. Widząc ją, rozumiem, dlaczego

Dick nie docenił jej męskiego przebrania. Dzieci drogie, sztuczny biust mojej matki to pestka wobec jej prawdziwego. Co jest najzabawniejsze, ona wygląda na naprawdę oczarowaną moimi wdziękami. Jeszcze jedna wyobrażająca sobie, że jest nową Safoną. Ręce opadają. Srodze się zawiedzie, kiedy przyjdzie co do czego.

Tańczę z nią raz, po czym ją opuszczam, zaprezentowawszy jej oznaki mego zainteresowania, by zatańczyć z dobrym tuzinem chłopaków... tym razem prawdziwych. Gaya jest wściekła, jestem za bardzo w centrum zainteresowania, jak na jej gust... posuwa się nawet do opieprzenia tego biedaka Dicka Harmana. W dalszym ciągu sądzi, że jestem jego siostrą Flo, a nieszczęśnik nie ośmiela się wyprowadzić jej z błędu. Prawdziwa Flo-Johnny łązi za mną po

parkiecie i za każdym razem, gdy jakiś chłopak mnie zaprasza, ostro krzywi buźkę... Ja zaś mam ubaw po pachy i od czasu do czasu wykonuję zawieszeniem ewolucje, które bezwstydnie zapożyczam od Betty Hutton, wiedzącej co znaczy zakręcić biodrem w stylu lat 1890. Wreszcie, około trzeciej nad ranem, Flo udaje się położyć na mnie rękę. Jest już sporo par solidnie zawiązanych, a kilka jest nawet gotowych do rozwiązania się ze względu na częściowe upojenie alkoholowe. Gaya porzuciła nadzieję, że uda jej się uchodzić za mężczyznę. Tańczy z jakimś dość paskudnym facetem, który nie jest przebrany. Nie znam go i zastanawiam się, co ona w nim widzi. Podczas gdy Flo przyciska się do mnie i usiłuje mnie nakłonić, bym dzielił z nią jej emocje, czyniąc dyskretne aluzje do mych niepokojących powabów, kątem oka obserwuję Gayę. Rzecz by można, że facet całkowicie ją trzyma w garści, kiedy do niej mówi, Gaya spuszcza oczy i potakuje z miną skarconego dziecka. To dziwne.

— Jak to — pyta mnie Flo — jest ci wszystko jedno, co mówię?

— Przepraszam — odpowiadam — właśnie myślałam o czymś innym.

— Pytałam, czy chcesz, żebym cię odprowadziła, na to ty zapytałaś dlaczego, a ja odpowiedziałem dlaczego.

— Dlaczego? — powtórzyłem.

— Dlatego, że bardzo mi się podobasz... pod względem fizycznym — odpiera Flo-Johnny.

Pękam ze śmiechu, ale wewnątrz. Na zewnątrz przybieram bardzo zakłopotaną minę.

— Nie mów takich rzeczy — odpowiadam. — Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ja wiem doskonale, że jesteś dziewczyną?

Podnieca ją to jeszcze bardziej.

— Wiedziałaś, co — mówi...

A jej dłoń pełźnie, by popieścić delikatnie jeden z moich atrybutów... atrybutów mojej mamusi, powinienem był powiedzieć.

— Owszem — mówię, spuściwszy oczy po to, by natychmiast je podnieść.

Usiłuję przybrać zmysłowy wyraz twarzy. Ciężka harówka, zapewniam was. Zwłaszcza, że raczej mam ochotę pęknąć ze śmiechu jak dętka.

— No więc... cóż powiesz na moje pytanie? — mówi, oddychając nieco szybciej.

Spoglądam na nią. To wspaniała dziewczyna, pomimo idiotycznego kostiumu. Ma szafirowe oczy, wydatne usta z najpiękniejszymi w świecie zębami, owal twarzy z dołeczkami, okrągłą szyję... a nogi są pierwszej jakości. Co do reszty, to ten kretyński kostium w stylu Ludwika XV zakrywa dokładnie wszystko.. Słowo daję... bardzo zostanie rozczarowana w swych nieczystych żądzach, ale z pewnością uda mi się ją pocieszyć...

— Bardzo bym chciała, żebyś odprowadziła mnie do domu — mówię — lecz nie mogę wyjść już teraz. Muszę tu chwilę pozostać. Jeśli chcesz, możemy się spotkać za dwadzieścia minut przy ogrodowej bramie?

— Pewnie! — szepcze, stojąc na miękkich nogach.

Płyta zatrzymuje się.

— To na razie — mówię, czule ściskając ją za rękę.

A później pędzę raz-dwa do drzwi wychodzących na korytarz, za którymi właśnie zniknęła Gaya ze swym partnerem.

Z facetem, który, jak wam to już mówiłem, nie pasuje mi zupełnie. Muszę mu się przyjrzeć z bliska.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dom rodziców Gayi to niezła, dobrze umeblowana chałupka, lecz jednocześnie dość uduchowiona. Jedno z tych domostw, zbudowanych w taki sposób, by gromadzić całe światło dnia, o ile jest dzień oczywiście, za pomocą całego mnóstwa kątów, werand i szklanych ścian. Wszystko to jest solidne i grube, gdyż Waszyngton to w końcu nie Kalifornia i w zimie człowiek potrzebuje tego minimum ochrony. Na szczęście znam drogę i domyślam się, że Gaya musiała pójść do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Stawiam stopę na schodach i widzę tamtego faceta, który schodzi. Cała służba śpi już o tej porze, a rodzice Gayi zafundowali sobie odpoczynek, bez wątplenia zasłużony, gdyż początek wieczoru musiał być niezwykle i pełen wszelkiego rodzaju pompatycznych staroci. To jednak zabawne, że ten facet, którego nigdy nie widziałem, jest z Gayą w na tyle zażyłych stosunkach, by ją odprowadzać do sypialni. Wisi mi to, że ją odprowadza, ale za to zaskakuje, że go nigdy nie widziałem. W chwili gdy przechodzi, potykam się i wpadamy na siebie.

— Przepraszam! — mówię, czarująca i słodka.

— Trudno — odpowiada.

Obrzuca mnie skrupulatnym, wnikliwym i całkiem chłodnym spojrzeniem.

— Potknęłam się o stopień — mówię.

— Widzę — odpowiada.

— Nie znam domu... A poza tym troszkę wypięłam...

— To błąd — odpowiada. — Jest tyle fajniejszych rzeczy.

— Nie mam o nich pojęcia — mówię wielce dystygowanie. — Ja lubię pić.

— Wedle uznania — odpiera.

Milczy. Najwyraźniej chce odejść. Lecz jednak wyglądam dość szelmowsko w mej sukieneczce.

— No cóż... do widzenia — mówi.

I po prostu odchodzi. Wołam za nim.

— Gaya jest na górze?

Zatrzymuje się.

— Nie — odpowiada. — Przypuszczam, że jest w kuchni. Była głodna. To tam.

Wskazuje mi drogę. Żadnych pomyłek, wie również gdzie to jest. A to prawdziwy wyczyn. Znaleźć kuchnię u Gayi można, jeśli się spędzi w domu co najmniej dziesięć lat. Lecz do licha, czy on przypadkiem nie ma na policzkach rózu? Mimo iż jest w smokingu.

— Dziękuję — odpowiadam.

Udaję, że tam idę, lecz gdy tylko gość znika za drzwiami sali tańca, ponownie ruszam ku schodom i wskakuję po cztery stopnie. Wchodzę bez pukania. Jest prawie jasno, światło pali się w wielkiej łazience, której uchylone drzwi przepuszczają dość blasku, by można było czytać książkę bez okularów słonecznych. Idę aż do łazienki. Jest tu Gaya, siedzi na krześle z przydrinkowaną miną i kretyńskim uśmiechem na ustach. Jest blada, a nozdrza ma zwężone.

— Gaya! — wołam moim normalnym głosem. — Źle się czujesz?

Patrzy na mnie jak przez mgłę.

— Kto... kto to?... — pyta.

— Francis — odpowiadam. — Francis Deacon.

— To Flo!... — wzdycha. — Flo z głosem Francis... nie dałam się na to nabrać. Dobre było.

Zaczyna rechotać śmiechem, od którego można dostać mdłości.

— Gaya, co tobie? — pytam.

— Nie dałam się nabrać — powtarza z trudem.

Podchodzę do niej i solidnie ją policzkuję, by wywołać jakąś zmianę. Rzucam okiem do umywalki. Nie, nie jest chora. Nie piła. Niczym jej nie czuć. Ani alkoholem, ani marihuaną.

— Odczep się — mówi.

Przyglądam jej się z bliska. Nos ma zaciśnięty, a oczy jak czubek szpilki. Całkowicie zwężone źrenice. Coś mi to przypomina. Rozglądam się dookoła. Nic. Jeden z mankietów ma odpięty. Zadzieram rękaw. No jasne, rozumiem.

Na razie nie ma tu nic do roboty. Najwyżej wrzucić ją do łóżka. Niech przetrawi to świństwo. Morfinę, czy co innego.

Bo właśnie tego można się domyślić z przedramienia, dobry tuzin kropek, czerwonych, brunatnych lub czarnych w zależności od stopnia zadawnienia. Jedna jest całkiem świeża. Kropelka krwi jeszcze się perli na skórze.

No proszę. Siedemnastoletnia dziewczyna. Zbudowana jak Wenus z Milo z ramionami — być może nie lubicie tego, ale to znaczy, że nie lubicie też zapewne ładnie wyglądającej kobyłki — dziewczyna o udach, piersiach i ciele jakich ze świecą szukać, o pięknej, słowiańskiej twarzy, nieco płaskiej, skośnych oczach i poskręcanych blond włosach. I to dziewczyna, która na dokładkę ma z czego żyć. Ma siedemnaście lat, jest taka właśnie i daje sobie robić zastrzyki z morfiny jakiemuś facetowi, przypominającemu alfonsa z rogu ulicy... który w dodatku jest umalowany. Słowo daję. One nie mają pojęcia. Chwytam ją i stawiam na nogi.

— Ruszaj się, krowo — mówię.

Lata mi nisko, czy ktoś wejdzie, jestem przebrany za kobitkę, nie zapominajcie... i nie ma w tym nic szokującego, że stara kumpelka wsadza do łóżka drugą kumpelkę, dlatego, że tamta za bardzo się wstawiła.

Gdybyż to było to. Droga Gayu, pewnego dnia złożę ci wizytę i usłyszysz wtedy niezły ochrzan. Zdejmuję jej jedwabną bluzkę i małą, obcisłą kamizelkę — nie pamiętam już jak to nazywają we Francji. Ta bździągwa obwiązała sobie biust bandażem elastycznym, żeby zajmował mniej miejsca. Cóż... prawdę mówiąc, to jej sprawa. Ja sam założyłem sztuczny. Ściągam jej welurowe majteczki i jedwabne pończochy. Oto i ona w stroju rekruta przed komisją wojskową. Idzie niepewnie i muszę ją podtrzymywać, żeby nie rozbiła sobie buźki. Jeszcze nie jest zbyt przyzwyczajona. Ścielę łóżko i wpycham ją do niego tak jak stoi.

— Branoc!... Flo... — mówi.

Świetnie. Jutro będzie przysięgała, że to Flo położyła ją do łóżka.

Całuję ją w prawą pierś, bardzo mocno, żeby odcisnąć jej piękny, czerwony ślad od szminki. Kiedy zobaczy go wstając, z pewnością poczuje skrępowanie. Nie napalam się bardziej, bo choć jest nieświadoma, mógłbym jej sprawić kilka grzeczności. Lecz zastanowiwszy się, gra nie warta jest świeczki. Prawdziwa Flo czeka na mnie na zewnątrz w pełnej świadomości. A zważywszy na stan Gayi w obecnej chwili, równie dobrze można by to robić z krze-

słem. A poza tym przeszkadza mi sukienka i kretyńsko bym wyglądał, gdyby ktoś wszedł.

I niech to gęś i szlag, nie cierpię narkomanek, kimkolwiek by były, Gayą, czy kim innym.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ponownie przemierzam salę. Jest jeszcze kilka par wyczerpanych bądź pijanych, kumple Gayi. Pozostali, grzeczne dziewczyny i porządni chłopcy, już dawno odjechali z rodzicami lub z szoferem. Wychodzę. Flo czeka przy końcu ogrodu.

— Odesłałam kierowcę — mówi. — Sama cię odwiozę, droga Frances.

Biorę ją za rękę i ściskam delikatnie. Tamta czuje się jak w siódmym niebie.

— Wsiadaj szybko — mówi.

Wsiadam. Ma ładny samochód. Podaje jej adres. Prowadzi jedną ręką, drugą obejmując mnie za ramiona. Gdyby nie była tak oszołomiona, z pewnością zadałaby sobie pytanie, czy przypadkiem, jak na dziewczynę, nie jestem ździebko zbyt szeroki w barach. To dowód, że nie ma zbyt dużo do czynienia z dziewczynami. Zapewne czytała raport Kinseya i powiedziałaby sobie, że wszyscy mężczyźni to świntuchy, postanowiła oddać się rozkoszom nienormalnych igraszek z przedstawicielką własnej płci, słodką, delikatną i bezpieczną w kontaktach.

Bryka staje przed moim domem. Ludzie, którzy zobaczą, jak wchodzimy razem, na pewno stwierdzą, że mały Francis nie odmawia sobie niczego... sami pomyślcie... dwie naraz... Bo przecież, oczywiście wchodzi ze mną.

— Odprowadzę cię — mówi — aż do pokoju. Jestem pewna, że masz rozkoszną sypialnię.

Jeśli nie rozpozna natychmiast, że mój pokój to sypialnia mężczyzny, będzie to znaczyło, że nie ma również zbyt dużo do czynienia z męskimi pokojami. Ta refleksja, choć sprzeczna z poprzednią, całkiem mi się podoba. Otwieram torebkę — mam nawet torebkę — wyciągam klucz — i wchodzę pierwsza. Flo podąża za mną i zamyka drzwi.

No proszę. Nie może już wytrzymać. Obejmuje mnie od tyłu, a jej dłonie zaciskają się

na fałszywym biuście mamusi. Powtarzam raz jeszcze — słowo daję, że to świetna imitacja. Dziewczyna całuje mnie w szyję i drży od stóp do głów. Biedna Flo. Nie bardzo przyzwyczajona do tych strasznych perwersji. Wyrywam się. Zapalam i gaszę światło w miarę jak przemierzamy się przez kolejne pomieszczenia i oto mój pokój. Wskazuję jej fotel.

— Połóż płaszcz, gdzie chcesz, Flo — mówię rwącym się głosem. — Ja pójdę po lód.

Znajduję lód i wracam. Napitki są w moim pokoju. Kiedy przekręcam wyłącznik w living-roomie, który właśnie opuściłem, dostrzegam, że wszystko ukryte jest w mroku i nic więcej nie widzę.

Po omacku wchodzę do siebie i stawiam tacę na stole. Domyślam się, co się może zdarzyć i powolutku odpinam kilka agrafek przy sukni. Zdejmuje się ją o wiele łatwiej niż zakłada. To niezły fart. Kiedy się trudzę, słyszę odgłosy w okolicy mego łóżka. Trochę mi to przeszkadza w ściąganiu powłoki. Kiedy już jestem tylko w staniku szczerze rechoczę, ale tylko w głębi ducha. Postanawiam go zachować z pominięciem reszty.

Zbliżam się nieśmiało do łóżka. Światło z ulicy rozjaśnia nieco pokój, gdyż zasłony są rozsunięte. Odchrząkuję.

— Flo — mówię półgłosem. — Jesteś tam? Nie czujesz się dobrze?

— Nie... — odpowiada skrepowana. — Musiałam się na chwilę położyć.

Potykam się o kupkę łaszków, co daje mi obraz stroju, jaki przywdziała, by się wyciągnąć. Prawdziwy strój gimnastyczny, w chwilę potem, kiedy bierze się prysznic.

Naprzód. Bez wahania. Ta mała Flo ma naprawdę piękne, niebieskie oczy.

Szafirowo-niebieskie, takie jak lubię.

Z pewnością leży rozciągnięta na łóżku, widzę niewyraźną biel jej ciała. Podchodzę. Jeszcze raczej nie jestem w zasięgu jej ręki, kiedy chwytą mnie i obala na łóżko.

Uf. O mały włos, a złapałaby mnie w taki sposób, że natychmiast zdałaby sobie sprawę z fortelu. Na razie jeszcze wszystko w porządku. Przesuwam jej ręce na moją szyję. Siedzę na łóżku, trzymając nogi na zewnątrz, zaś ona leży na wpół uniesiona. Przyciskam się do niej... w dalszym ciągu, z powodu sztucznego biustu, jest pewna swego...

— Zdejmij to... — mówi gorączkowo.

Tym razem mam wielki problem, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jej ręce majstrują przy zapięciu stanika. No i proszę. Zrywa wszystko.

Trzeba działać. Bo będzie za późno. Wywalam tamto urządzenie, przywieram wargami do jej ust i rozpląszczam się na niej całym ciałem.

Dobrze idzie. Wygląda na to, że chłopców też lubi.

A także, że umie również ich rozruszać i skierować ku stosownym miejscom.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Od tego czasu upłynął już tydzień i budzę się pięknego, wiosennego poranka w środku lipca, co nie jest tak nieprawdopodobne jakby się zdawało, gdyż słowo „wiosna” określa również pewną jakość i nie ma powodów, by wiosenny poranek nie mógł mieć miejsca o dowolnej porze roku. Mam kilka listów. Otwórzmy. Pierwszy proponuje mi kursy psychoanalizy po śmiesznie przystępnej cenie. Drugi przypomina, że szkoła detektywów w Witchita w stanie Kansas nie ma sobie równych na świecie, a trzeci to zawiadomienie o ślubie. Kto wychodzi za mąż? stara przyjaciółka Gaya... A szczęśliwym wybrańcem jest niejaki Richard Walcott.

Dobrze, dobrze, dobrze. Chwytam za telefon. Dziewczyna jest u siebie.

— Halo? Gaya? Francis Deacon przy aparacie.

— Och, Francis! — woła.

Mówi tylko tyle, a i to tonem słodko-kwaśnym.

— Wychodzisz za mąż, Gaya?

— Ja... wyjaśnię ci, Francis — odpowiada — ale nie przez telefon.

— Dobrze — mówię. — Wstałaś już?

— Ja... tak... ale...

— Zaraz u ciebie będę — odpowiadam. — Wszystko mi wyjaśnisz.

Nie widzę powodu, dla którego nie mógłbym trochę zaopiekować się Gayą i jej małżeństwem, skoro serce mi tak podpowiada, co? Zawsze nosiłem się z taką myślą, że to ja znajdę męża dla Gayi. Dlatego lekko mnie bulwersuje, że nigdy do tej pory nie słyszałem o wymienionym już Richardzie Walcott. Bo gdybym pozwolił rodzicom Gayi na zajęcie się małżeństwem ich córki, byłaby to prawdziwa zbrodnia; oboje mają to gdzieś, a na ogół ich nie ma. A teraz bądźcie uprzejmi stwierdzić ukrytą użyteczność takich refleksji — niczego nie zauważyliście, a ja już się ubrałem.

Właśnie do tego służyła ta cała gadka.

Schodzę, samochód, droga, parking, schody.

— Dzień dobry, Gaya.

— Francis — mówi.

Jesteśmy w jej sypialni urządzonej drogo z szaloną prostotą dla tej drogiej dziewczyny, wszystko jest białe i złote, a na podłodze leży metr dywanu — metr grubości, nadażacie.

— Kim jest Richard Walcott? — pytam.

— Nie znasz go, Francis.

Siedzi przy swej toalecie na urządzeniu z żelaznych, złożonych prętów, wyściełanym kremowym aksamitem, które jest cholernie idiotyczne. Gładzi sobie paznokcie za pomocą ptasiej skórki oprawnej w chrom. Na pewno nie zadaje tym bólu ani paznokciom, ani skórcie.

— Kiedy mnie jemu przedstawisz? — pytam.

— Francis — odpowiada patrząc na mnie — cóż cię to może obchodzić?

Również patrzę na nią, więc odwraca oczy. Gaya nie wygląda dzisiaj szczerze. Piękny koń wygląda jakby stał się koniem narowistym. Przybliżam się.

— Daj mi rękę, moja piękna — mówię. Ostentacyjnie podwijam jej rękaw i całuję tam, gdzie znajdują się ślady ukłuć. Po czym opuszczam rękaw i uwalniam jej ramię.

— Skoro go kochasz, kotku, to wszystko gra — mówię patrząc na nią ponownie spod oka. — Ubieraj się, pojedziemy po Richarda i razem zjemy obiad.

— To znaczy... mam... miałam iść na obiad z nim i jednym z jego przyjaciół...

— Z jego drużbą, jak sądzę — mówię.

Potakuje.

— No to świetnie — mówię raz jeszcze. — Przedstawisz mnie jako swojego drużbę i we czwórkę zrobimy sobie małą wyżerkę. Naprzód, hop.

Chwytam ją pod pachy i stawiam na nogi. Po czym rzucam na cztery wiatry jej rozkoszny peniuar, zaś ona ma zasmuconą minę, tak jakby miała zamiar za chwilę się rozplakać i wszystko opowiedzieć... lecz bierze się w garść.

Ta dziewczyna w tym stroju, to niezły spektakl.

— W której szufladzie są staniki? — pytam.

— Nigdy ich nie używam — odpowiada obrażona. — Czyżbyś uważał, że są mi potrzebne?

— Ależ skąd — odpowiadam. — Lecz takie skarby powinno się trzymać pod kloszem. Powinnaś nosić staniki ze stalowych prętów.

Śmieje się.

— Francis — mówi — bardzo cię lubię.

Wygląda jakby się trochę rozluźniła. Pomagam jej ubrać się, o tak, po prostu, jak kumpel. To właśnie było świetne z Gayą — od czasu do czasu była jak najlepszy kolega. Nie jestem w niej zakochany, ale nie mam ochoty, by zrobiono z niej dziwkę — albo i coś gorszego.

Opowiadam jej stada bzdetów, a ona śmieje się przez cały czas. Czesze swe loki przed lustrem zapełniającym całą przestrzeń pomiędzy dwoma oknami, trochę szminki na usta i po wszystkim, chwyta torebkę, rękawiczki i zatrzymuje się tuż przed drzwiami sypialni.

— Przecież to nie jest pora na obiad — stwierdza.

— Nie szkodzi — odpowiadam — zrobimy sobie małą przejażdżkę.

Waha się.

— Francis, obiecujesz mi, że nie będziesz stroił sobie żadnych żartów?

— Jakich żartów? — pytam niewinnie i szczerze. — Chcę cię zabrać na przejażdżkę i wrócimy na umówioną godzinę tam, gdzie masz spotkanie ze swoim narzeczonym. Słowo daję.

Jednym gestem odsuwa precz wszystkie swe zmartwienia i rusza ku schodom. Przebiegamy przez podest w dwóch skokach i ona wsiada do samochodu dokładnie w momencie kiedy ruszam.

— Wrzucimy parę ostryg i napijemy się mleka w jakiejś budzie po drodze — mówię.

Mówiąc między nami, przychodzi mi do głowy myśl, że mleczna kuracja nieźle by jej zrobiła. Zdaje się, że mleko to niezła odtrutka. I ma mnóstwo witamin. I rząd roztacza nad nim opiekę.

— Gaya, po co wychodzisz za męża?

Wzrusza ramionami.

— Mówmy o czymś innym, Francis. I tak byś nie zrozumiał.

Otaczam ją ramieniem.

— Jeśli to pociąga cię tak bardzo, miła — mówię — to chyba ja nie jestem taki odrażający?

Kładzie głowę na moim ramieniu. Ma dziewczęcy głos. Jest bardzo miła. Prawdziwa idiotka, ale jest młoda, jeszcze się wyrobi.

— Francis — mówi — ja sama już nie mogę się w tym połapać. Mówmy o czymś innym... to bez znaczenia. Jakoś się ułoży.

Droga jest piękna — pełno kwiatów i samochodów, co dowodzi, iż jest to wiosenny poranek, kolejny argument na poparcie mego wcześniejszego dowodu.

Spędzamy dwie, naprawdę sympatyczne godziny w małym, bezpretensjonalnym barze,

gdzie wszystko kosztuje jedną szóstą tego, co by się zapłaciło u Jagera w Waszyngtonie, lecz mnie, pomimo kilku nowych prób, nic jeszcze nie udało się wyciągnąć z Gayi. Jest zamknięta jak sejf w Banku Federalnym; ten, kto ją zmusi do mówienia, będzie niewątpliwie cwańszy ode mnie, co skłania mnie do wyciągnięcia wniosku, że jest to niemożliwe, nie podoba mi się bowiem myśl, że ktoś mógłby być cwańszy ode mnie.

W miarę jak zbliża się wyznaczona godzina, Gaya staje się jednak coraz mniej wesoła. Spogląda na zegarek, denerwuje się, patrzy również na mnie i to wcale nie miłośnie. Przypuszczam, że zbliża się chwila jej działości... Jestem słodki i czarujący, wsiadamy do samochodu. Im bliżej jesteśmy miasta, tym bardziej dziewczyna się uspokaja, lecz jednocześnie wzmaga się jej rozgorączkowanie. Jest sztucznie podniecona, aż nieprzyjemnie na to patrzeć.

— Prowadź mnie — mówię.

— Ty wiesz, gdzie to jest — odpowiada. — Umówiliśmy się w Potomaku.

— W Klubie?

— Tak — odpowiada.

Kapuję. Potomac Boat Club, jak sama nazwa wskazuje, znajduje się na Potomaku, w samym środku Waszyngtonu, przy moście Francisca Scott Keya. To mały snobistyczny klub, zaś pomysł ze statkiem wydaje mi się jak najbardziej wskazany w temacie narkotyków.

— I tam jemy obiad? — pytam.

— Najpierw przejażdżka po rzece, a potem obiad — odpowiada.

— Świetnie — mówię.

Przyciskam do dechy. O mało nie wpadam na tramwaj. Szkoda by było, bo tramwaje z Waszyngtonu nie mają sobie równych na świecie... są olbrzymie i całkiem ciche, jeśli kiedykolwiek pojedziecie na wycieczkę do dziury zwanej Belgią (w Europie, zdaje się) natychmiast zrozumiecie, dlaczego zależy mi na zachowaniu tramwajów, takich jak waszyngtońskie. I oto jesteśmy nad Potomakiem. Parkuję samochód, wsiadamy i podążam za Gayą, idzie dość szybko, jakby chciała mnie zgubić — ale ja znam Potomac Club.

Przysiada się do dwóch facetów w klubowym barze. Widząc ich omal nie łyknałem własnych trzonowców.

Gdyż jeden z nich to gość, którego minąłem, kiedy wychodził z jej pokoju, w czasie imprezy. Ten umalowany. Co? To ma być narzeczony? Nie... prezentacja wyprowadza mnie z błędu. To ten drugi, Richard Walcott. No cóż, nie wiem, czy ten także się maluje, lecz zapewniam was, że to jedna z... I to jaka. Prawdziwa ciota, w najlepszym gatunku. O mało nie wybucham śmiechem Przedstawiamy się. Nie ściskam wyciągniętych ku mnie rąk, z pewnością są upaprane kremikiem. A jakie mają głosy... kobitek, prawdziwych kobitek. Coś takiego w

życiu nie poślubi Gayi!...

Krótko potem, zniecierpliwiona Gaya wstaje i podążamy za nią do biało-czerwonego Chriscrafa, kołyszącego się przy pomoście. Słońce praży ostro, a woda lśni, aż oczy bołą. Żal mi ryb. Co za życie!

W chwili, gdy mamy wsiąść, Gaya zwraca się do mnie.

— Francis, kotku — mówi — zapomniałam zabrać z baru torebkę. Nie zechciałbyś pójść po nią?

No proszę. Tak się robi faceta w konia. I dobry Francis pójdzie po torebkę, w czasie gdy mała Gaya wstrzyknie sobie morfinę.

— Już idę Gayu — mówię.

Na razie nie będę niczego przyspieszał. Wracam do baru. Na stole nic nie ma.

— Moja przyjaciółka zapomniała torebkę — zwracam się do barmana. — Nie widział jej pan? Wie pan, to tej wysokiej blondynki, co była tu przed chwilą!

Patrzy na mnie. Wygląda, jakby stroił sobie ze mnie żarty.

— Wychodząc, pańska przyjaciółka miała torebkę przy sobie — mówi. — Poprosiła mnie o zapalki i wsadziła je do niej. Torebka z czarno-czerwonego zamszu.

— Tak — odpowiadam. — Przepraszam. To musiał być dowcip.

Wypadam błyskawicznie i kiedy dobiegam do pomostu Chriscraf jest już daleko.

Bardzo dobrze. Następnym razem wkraczam do akcji. A następny raz jest już teraz. Gdy przed sobą dostrzegam nagle sylwetkę mego brata Ritchiego. Z Joan i Ann, które są przyjemną parą myszek. Oto mściwy przypadek. A coście myśleli — my też jesteśmy snobami.

— Jesteś łodzią Ritchie?

— Owszem — odpowiada. — Właśnie z niej wysiadłem. Przed chwilą wciągnąłem ją do hangaru.

— Świetnie, pożyczam ją od ciebie — mówię. — Daj klucz od boksu.

Podaje mi go.

— Uważaj na swoje ciśnienie, Francis — mówi. — Wyglądasz na przekrwionego. Nie wpadnij do wody w takim stanie.

— Dzięki, stary... — odpowiadam nie odwracając się i żwawo biegnąc ku boksom.

Czerwono-biały Chriscraf zniknął już za Wyspą Trzech Sióstr. Lecz łódź Ritchiego płynie nieco szybciej... odkupił ją od pewnego głupca, który zabawiał się skokami z trampoliny przez ceglane mury i całą gamą tego rodzaju rozrywek. Złapię Gayę po dziesięciu obrotach śruby.

Silnik jest jeszcze ciepły i startuje po ćwiartce obrotu. Nawiasem mówiąc, łódź mojego brata nazywa się „Kane Junior”, nikt nie umiał nigdy powiedzieć dlaczego, zresztą nigdy nikogo o to nie pytałem. Przyklejam się do kierownicy i daję czadu. I to jakiego. Mam wrażenie, że rozrywam siedzenie, tak ostro wystartowałem...

Prawdę mówiąc nie jestem szczególnie ubrany jak do tego, co mam zamiar zrobić. Ach!... w skrzyni na przodzie jest kurtka z impregnowanego płótna, która będzie pasowała na mnie jak ulał. Nie puszczając steru, chwytam ją i jakoś wdziewam na siebie. Już jest lepiej. Jeszcze przyspieszam. Objeżdżam wyspę pięknym wirażem. Gdzie jest Chris? No proszę!... stoi tam... Znowu rusza. Wygląda jakby wracał. Musieli się zatrzymać, by pozwolić Gayi na zrobienie zastrzyku.

Myślę sobie, że solidny prysznic nie zaszkodzi ciociom i celuję. Starannie. Jak wam mówiłem, facet, który sprzedał łódź Ritchiemu, zabawiał się przeskakiwaniem przez mury z cegieł. A Chriscraf nawet nie jest z cegieł.

Wezmę ich od przodu. Będą mieli czas wskoczyć do wody. Być może jest kilku widzów, którzy uznają to za zabawne, ale nie warto przejmować się drobiazgami... Silnik warczy, a dziób unosi się ponad wodę. A dziesięć metrów przed Chriscrafem wyłączam dopływ paliwa.

Chrrrup... drą się blachy i cały ten chłam, a ja omal nie rozbijam sobie bańki o nadbudówkę i nabieram dość wody, by utopić piętnaście kaczek. Chriscraf zaczyna pochyłać się do przodu. Moja słodka Gaya tapla się, Walcott również, a tamten trzeci takż. No... bądźmy wytworni. Ponownie startuję, na wstecznym biegu odrywam się od Crafta i krążę dookoła, by wyłowić Gayę.

Musiałoby to odebrać co najmniej połowę efektu zastrzyku... rzuca mi spojrzenie pełne rzadko spotykanej srogości... łapię ją jak leci i wrzucam do łodzi. A tamte typy będą miały nauczkę. Brzeg jest niedaleko. I jest tam mnóstwo złośliwych kamieni.

Zjawia się również szary patrolowiec policji rzecznej. Musieli coś usłyszeć. W każdym razie wiele nie zobaczą. Chriscraf pełza właśnie po mulistym dnie naszego kochanego narodowego Potomaku.

— No Gaya — mówię. — To tak się roluje kumpli?

Odpowiada mi słowem niezbyt przyzwoitym i słabo nadającym się do powtórzenia.

— Rozbieraj się — mówię. — I włóż tę kurtkę.

— Zabierz mnie, Francis — odpowiada przez zaciśnięte zęby. — Zabierz mnie do klubu i to zaraz. I więcej w życiu się do mnie nie odzywaj.

Chwytam ją za włosy i odwracam w moją stronę. Statkiem buja trochę. Trochę za mo-

cno. Przewracam ją na podłogę.

— Powiem ci coś, Gaya — ciągnę. — Robisz błąd spotykając się z tą bandą popaprańców. Twoja narzeczona — nie wiem skąd się wzięła — ale jest bardzo nieprzyjemna. Rzuć to w diabły, a ja się od ciebie odpieprzę. Wyrosłaś już z wieku, kiedy się ćpa, a jeśli nie będziesz miała nic do roboty, a zapragniesz sensacji, to lepiej zrobisz, jak do mnie zadzwonisz.

Śmieje się szyderczo, co wkurza mnie okropnie.

— Zostaw mnie w spokoju — mówi. — Ślubu nie braliśmy, a ja jestem dostatecznie duża, by sobą kierować. Zajmij się swoimi sprawami.

W tym momencie podpływam do pomostu i na zwolnionych obrotach sunę w kierunku boksu Ritchiego.

— Jakieś ciuchy znajdziesz w tej metalowej szafie — mówię. — Ubieraj się i chodź. Odwiozę cię. Ci twoi dwaj kolesie właśnie się pluskają i nie ujrzysz ich wcześniej jak za osiem dni, dopóki nie pokłajstrują sobie łbów.

Podnosi się i wychodzi. Wygląda, jakby niezbyt pewnie trzymała się na nogach, więc spieszę, by ją podtrzymać, ale ta zasmarkana bździągwa wykiwała mnie, bo w chwili kiedy stawiam stopę na betonie, pochyla się, łapie mnie za nogę i wpieprza do wody, gdzie, zapewniam was, jest dość mazutu, by napędzana nim „Elizabeth Oueen” mogła dopłynąć z Nowego Jorku do Londynu.

Kiedy udaje mi się wygramolić z tej marmolady, mam guza na czaszce, który puchnie w mgnieniu oka jak mały balonik. Wnioskuję z tego, że musiałem się zaprawić wpadając i rozbieram się, żeby zmienić ubranie. Całe szczęście Ritchie jest mniej więcej mojego wzrostu, tyle że nosi okulary, co w tym przypadku nie ma najmniejszego znaczenia. Na umywalce leży stary kawałek mydła, trudno to nazwać luksusem; zdieram z grubsza mój mazutowy makijaż i znajduję stare spodnie oraz sweter. Buty mam mokre, trudno... zdejmuję je, opróżniam, wykręcam skarpety i wszystko to razem zakładam ponownie. Ekstra. Wychodzę i udaję się do baru w klubie. Wypijam świetną, czarną i dobrze osłodzoną kawę i jestem w doskonałej formie.

Wychodzę. Jest mój samochód. Gaya się ulotniła.

Jakież życie jest proste... Guzik! a to małpa. Wszystkie cztery koła to flaki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy już jestem dobrze wykąpany, nasmarowany, wykurowany, suchy i leżę sobie spokojnie na tapczanie, zastanawiam się i stwierdzam, że cała ta historia z przebicciem opon nie jest w końcu taka straszna. Opóźniło mnie to raptem o pół godziny, a człowiek ma zawsze o pół godziny za dużo, zwłaszcza gdy gruchy obija; w sumie, jeśli pomogło to Gayi w odzyskaniu dobrego humoru, to byłem jej winien tę maleńką rekompensatę.

Właśnie czytam kryminał, łagodny jak rzadko, zważywszy, że po jedenastu stronach dopuszczono się zaledwie piątego morderstwa, kiedy dzwoni telefon. Wyciągam rękę i podnoszę słuchawkę.

— Francis? Tu Gaya.

— No — mówię. — Czyżbyś chciała mi sprzedać dętki?

Śmieje się.

— Nie, Francis. Bardzo mi przykro... Byłam taka zdenerwowana...

Dopiero będzie wesoło, kiedy się naprawdę wścieknie. Będę musiał opancerzyć sobie karoserię.

— Francis... chciałabym gdzieś pójść dziś wieczorem... mógłbyś mi potowarzyszyć? Podjadę po ciebie... sprawiłbyś mi przyjemność... hmm... gdybyśmy się pogodzili.

Dziwi mnie to, zważywszy na stan, w jakim ją pozostawiłem. Ale w końcu... była pod wpływem tego świństwa. Umawiamy się i odkładam słuchawkę... i bardzo chciałbym wiedzieć, co się za tym kryje. Zabijam czas za pomocą tęgich szklanów whisky z cytryną, to wspaniałe narzędzie mordy. Ubieram się... któryż to już raz ja się dzisiaj ubieram. Jestem miłusi niezwykle w moim ciemnogramatowym smokingu i nikt nie rozpoznałby we mnie tamtego obrzydliwca, uświnionego smarami.

Biorę mój stosowny, filcowy kapelusz i już jestem na zewnątrz. Na minutę przed umówioną godziną.

Dokładnie po minucie kabriolet Gayi zatrzymuje się przede mną. Chwytam za burtę i wskakuję obok niej, nie otwierając drzwiczek. Polecam wam ten trick, piszczele bolą po pierwszych dziesięciu razach i można rozedrzeć sobie portki o klamkę, lecz przy jedenastym efekt jest murowany.

— Dokąd jedziemy? — pytam.

— Do Fawnsa — odpowiada.

— Czemu nie — mówię.

Wesoła jest jak sto szczygiełków. Od czasu do czasu rzuca na mnie spojrzenie kątem oka i jednocześnie wybuchamy śmiechem. Można by nam dać po trzy lata. Nie więcej.

Nieźle się kręci po uliczkach, lecz, grosso modo, udaje mi się rozpoznać miejsce, zwłaszcza kiedy przejeżdżamy koło Thomas Circle, na rogu Vermont Avenue Massachusetts. Zjeżdżamy trochę na południe, ale nadal pozostajemy na N.W. i Gaya stopuje przed jakąś chałupą bez wyglądu niedaleko Farragut Square. To ona idzie przodem, a ja depczę jej po piętach. Wchodzimy do pustej sali — lokal znajduje się w podziemiach, ruszamy po marnie oświetlonych schodach i już jesteśmy.

To naprawdę mogło mnie być zaskoczyć. Patrząc na ludzi kręcących się po czymś w rodzaju snobistycznego baru, pełnego stiuków, metaloplastyki, tworzyw sztucznych oraz reflektorów i już kumam. Kumam jak cholera. Jeśli choć jedna ze znajdujących się tam kobitek spała kiedykolwiek z mężczyzną, to jestem chełbią bałtycką i jeśli te chłopaki niepokoją płęć przeciwną to Waszyngton był sprzedawcą popcornu. Lesbije i cioty, oto cała publika... a ja czuję się skrępowany. Zresztą muszę oddać sprawiedliwość i przyznać, że jest tu wszystkiego trzech facetów na tuzin kobiet... czy jak tam raczej wolicie je sobie nazwać, bo na te siostrzyczki nie ma stosownej nazwy.

I znów widzimy Richarda Walcotta i jego pomagiera — czy mówiłem wam, że nazywa się Ted Le May? Ładne nazwisko, co?... i jest do niego podobny. Trzeci „mężczyzna” to piękny blondynek, wysoki i nieźle zbudowany. Fuj! Z pewnością jest miękki jak ślimak.

Co do panienek... sami wiecie, co to za gatunek. I oczywiście są takie, które na dobitek noszą okulary. Jednej rzeczy tylko nie kapuję — dlaczego policja nie zamyka takich przybytków. Jest to nieco zaskakujące jak na Waszyngton.

Ba... jasna sprawa. Protekcja.

Walcott uśmiecha się do mnie sympatycznie i nie wygląda na złego. Przypuszczam, że jego Chriscraf był ubezpieczony. Albo nie był jego. Albo się zgrywa. Siadam. Po jakiego diabła ta bzdziągwa Gaya mnie tu przyprowadziła? Jest obok mnie. Pomiędzy nami dwoma, trzymając swą torebkę. Dostrzegam nagle, że jest na wpół otwarta, więc zapuszczam do niej żurawia, podczas gdy jakieś babsko, nad którym można by wyć ze zgrozy, przynosi nam kieliszki.

W torebce Gayi znajduje się nieduży zwitek banknotów... ale za to grubych.

Nie warto zaglądać ponownie. Ma tam dziesięć tysięcy dolarów w kawałkach.

Od niechcenia robię to, co trzeba i po pięciu sekundach całość siedzi w mojej kieszeni.

Teraz potrzebuję pretekstu, by wyjść na pięć minut, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wstaję i zabieram się do wyjścia.

— Dokąd idziesz, Francis? — pyta Gaya, łapiąc mnie za ramię.

— Zostawiłem portfel w samochodzie — odpowiadam.

— Ale wrócisz?

— Jasne!

— Pójdę z tobą... — proponuje jeden z chłopaczków.

— Mówię, że zaraz wracam...

Po dwóch sekundach i sześciu stopniach jestem na zewnątrz. Przez chwilę szperam w skrzynce z narzędziami, później pod maską i w porządku. Załatwione.

Wracajmy do podziemi. Gaya miała bardzo głupią minę widząc jak wychodzę. Siedzi tam nadal i patrzy na mój powrót z niejaką ulgą.

Do czego miało służyć te dziesięć patyków?

Wszyscy siedzą i gadają. Prawdziwa, szalenie nieskomplikowana konwersacja, w której jest mowa o wszystkim, z wyjątkiem tego, co mogłoby zainteresować normalnego człowieka. No proszę, wysoki blondyn zmienił miejsce. Teraz siedzi blisko mnie, nieco z tyłu.

To zabawne. Atmosfera jest, rzecz by można, napięta.

Teraz rozmawia się o łodziach i o Potomaku... I o kąpielach w rzece. Oraz o czerwono-białym Chriscrafie.

Zaś Ryszard Walcott bardzo krzywi gębę pod moim adresem. Jeśli chodzi o Teda Le Maya porzucił wszelką swą ogładę. Nie mam cienia wątpliwości. Trochę mają mi za złe.

— To dlatego — stwierdza Richard — poprosiliśmy Gayę, żeby cię tu przyprowadziła i dziękujemy, że to zrobiła.

— Bardzo przepraszam — mówię — ale nie rozumiem waszych motywów. Przecież nie może was denerwować jakiś Chriscraft... przy wszystkich tych narkotykach, którymi handlujecie...

Jest to cios na chybił trafił, ale najwyraźniej klimat się ochładza.

Za to inny cios, wcale nie na chybił trafił, spada mi na łeb. Wysoki blondyn, o którym zapomniałem. Czy zrobił to specjalnie? Nie mam pojęcia, ale wycelował dokładnie w guza, jakiego sobie nabiłem przy okazji porannej wycieczki.

Słusznie się domyślałem, że ten palant ma mięśnie z pierza. Przyjmuję puckę z godnością, jeden zero i po sprawie. I tytułem rozrywki podnoszę stół i przewalam go Walcottowi na łeb. Zdecydowanie nie lubię tego faceta. Stwierdzam z przyjemnością, że dostał w samą kichawę. Będzie się musiał udać na operację plastyczną.

Bar wyludnił się natychmiast. Jestem sam przeciw całej bandzie. Gaya stoi po mojej lewej. Blondasek leży po prawej, lekko zbity z pantałyku po solidnym ciosie buta w podbródek. Rzecz by można, że bardzo się uczepliłem ich buziek.

Chwytam torebkę Gayi. Piękny fortel. Pędzę ku schodom. Trzech pedryli to za mało, żeby załatwić małego Francisa.

Mowa. Tyle że na schodach stoi kolejny z gatunku szaf trzydrzwiowych.

Okropny facet. Rudy, o szpiczastej czaszce, włochaty i wyglądający jak niedźwiedź; waży co najmniej dwieście kilo i jest bardzo złośliwy — widać to po kaprawych, świńskich oczkach, zatopionych w tłuszczu.

Przyjmuję kilka ciosów taboretom po żebrach. Nic poważnego. Za to ten wielki jest poważny. Trzeba się decydować.

Wybieram. Zbiegam po schodach. Zmyłka. Odwracam się gwałtownie, przerzucam torebkę ponad bydlaczkiem i rzucam mu się między nogi w chwili, kiedy on zbiega. Dobry Boże... nie przecisnę się nigdy w życiu. Facet ma uda jak słoniowe nogi. Hopla! Podnoszę... przerzucam, poszło. Gość zwała się. Słyszę wrzask, to Ted, pewnie przyjaciel skoczył mu na nóżkę.

Ach! Znowu jestem na parterze. Tu drobny kłopot. Krótko mówiąc, drzwi wyglądają na hermetycznie zamknięte.

Podnoszę torebkę. Obejrzyjmy te drzwi. Nie! Są pilniejsze rzeczy. Chwytam kilka krzesel i spuszczam je po schodach, bo przychodzi mi do głowy, że coś próbuje tamtędy wyleźć. Wszystko odbywa się dość szybko, bez dwóch zdań. Nie ma czasu na nudę.

Trzymając w rękach ciężki, dębowy taboret walę w zamek w drzwiach wyjściowych. To fajans. Puszczam.

Moja czaszka również. Ściemnia mi się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ale nie sądzicie chyba, że pozostanę w mrokach dostatecznie długo, byście mieli czas

skoczyć na piwko do baru na rogu. Mowy nie ma. Tym bardziej, że wylano mi za kołnierz butelkę Seven-up, a zapewniam was, że to orzeźwia. Pewno z powodu bąbelków.

Jestem na dole. Na ziemi cała kupa. To ten wielki rudzielec. Rzec by można, że padając zrobił sobie krzywdę. Ani drgnie. Jest także Ted Le May, trzymający się za ramię, Walcott krwawi z nosa, a Gaya nic nie mówi.

Tamten wysoki blondyn ma problemy z paszczką i patrzy na mnie złym okiem.

No i ja z dynką w kawałkach i przywiązany do krzesła. Przeszarżały sposób.

— Francis — mówi Gaya — gdzie jest dziesięć tysięcy dolarów?

— Które? — pytam.

No proszę, boli mnie, kiedy mówię.

— Te, które były w jej torebce, zasrańcu — mówi wysoki blondyn.

I dorzuca mi fangę w nos.

Trudno, sam tego chciałem. Spluwam mu w oko. Nic innego zrobić nie mogę. Nie jest zachwycony i dostaję cios w kulfona, ale to nic nie szkodzi, moja kolej jeszcze nadejdzie.

— A co jest temu dużemu? — pytam.

— Jest lekko uszkodzony — odpowiada Walcott — i ty też wkrótce będziesz.

— Och! — wołam. — To niemożliwe. Jesteście zbyt fajni, żeby mi zrobić krzywdę, mimo wszystko.

— Francis — pyta Gaya — co zrobiłeś z dziesięćoma tysiącami dolarów?

Gaya jest jak oszalała. Chyba będzie miała kryzys.

— Nie wziąłem ich — odpowiadam — i, skoro mam wkrótce umrzeć, nie zwracam mi głowy przyziemnymi kwestiami finansowymi.

Bęc. Dostaję nogą od krzesła w prawy policzek. Łajdak. To Le May. Mam wrażenie, że pękła mi kość. Spluwam na czerwono. Boli.

— W każdym razie mogę ci jedno powiedzieć — dodaję. — Jeśli mnie szlag trafi, to dziesięć tysięcy dolarów, które chciałem ci dać w ślubnym prezencie odfrunie daleko.

Wspaniale. Tylko tego mi brakowało. But prosto w arbus, a na dokładkę z nogą w środku. Walcotta zresztą. Błogosławiona niech będzie moda na cienkie podeszwy. Wyobraźcie sobie, co by to było w porze sportów zimowych.

A jednak krwawię z nosa tak, że sprzedawca koszernego mięsa kucnąłby z uciechy. Wkrótce będę się nadawał na sznycle, jak cielęcina.

Wtrąca się Gaya.

— Zostawcie go.

— Akurat — mówi Richard. — Ten świntuch ma solidną czaszkę.

— Wisi mi, czy mu po niej nakładzicie — odpira Gaya — ale chcę, żeby mi zwrócił pieniądze.

Biedactwo. To świństwo, co mówi, lecz jest do tego stopnia na łasce tych śmierzdźli, że mam jednak dla niej litość. Narkotyki bardzo ją muszą trzymać.

— Gaya — mówię — wyprowadź mnie stąd, a jutro będziesz miała u siebie dziesięć tysięcy dolarów. Nie wiem o jakie pieniądze chodzi, ale zawsze byłaś moją kumpelką i w gruncie rzeczy nie odpowiadasz za istnienie bandy popaprańców, takich jak te trzy cioty.

Chrup! I tym razem nie chybiają. Tylko to mnie ratuje, że nie wiedzą już gdzie walić. Jeśli za chwilę zechcą poszukać nietkniętego miejsca, będą musieli się wzajemnie ogłuszyć.

Teraz mam kłopot z mówieniem i chce mi się wymiotować. Nie czuję się zbyt zuchowato. Robię wysiłek.

— Gaya — mówię — o nic nie poproszę tych trzech dziwek. Jeśli możesz coś zrobić, zrób to. W przeciwnym razie mój braciak wygada wszystko, co mu powiedziałem o tej historii.

Wstyd mi, że pakuję w to Ritchie'ego, gdyż to nie jego broszka, dlatego, że ma swoje studia i dlatego, że sam się wpakowałem w tę kabałę. Także dlatego, że bardzo lubię mojego braciaka i nie chciałbym, żeby mu się coś przytrafiło. Lecz to moja jedyna karta. Ci trzej są tak wkurzeni na mnie, że gotowi są stracić dziesięć tysięcy dolarów w imię zemsty.

Grad się urywa. Gaya mówi do nich. Niezbyt wiele rozumiem. Rozwiązują mnie. Podnoszę się, ale kiepsko to idzie. Odskakują, co mnie rozśmiesza, ale nie na długo, bo ponownie padam na krzesło i mam wrażenie, że kiedy się śmieję, usta otwierają mi się w trzech kierunkach naraz.

W sumie zebrałem niezłe cięgi. Lecz bardzo bym chciał, żeby obudził się wielki rudzielec. Niezłe mu przydzwoiłem!...

— Nie ruszaj się! — woła Walcott.

Patrzę na niego. W ręku trzyma spluwę. Mógłbym zaryzykować, pewno strzela jak noga... ale lepiej nie, bo jeszcze by źle wycelował i mógłby mnie sięgnąć.

— Dziękuję, Gaya — mówię, żeby wkurzyć pozostałych.

— Nie dziękuj, Francis. Sprawileś mi większą przykrość niż przypuszczasz i chętnie pozwoliłabym im na wykończenie ciebie... lecz zbyt potrzebuję tych pieniędzy.

— Jesteś pewna, że to nie oni ci je ukradli?

Zgrywam cwaniaka, a to błąd. Zostały jeszcze nogi od krzesel. Tyle że stoję już od pięciu minut, a moje mrówki poszły sobie precz. Ostatnia pucka była od Teda Le Maya... jednym skokiem chwytam go i posługuję się jak tarczą przeciw Walcottowi. Możesz strzelać

staruszku.

Tedowi się to nie podoba. Macha kończynami, lecz trochę go trzymam. Kątem oka obserwuję trzeciego, wysokiego blondyna i dostrzegam w tym momencie, że rudzielec zaczyna się ruszać. W porządku, żyje, tylko tyle chciałem wiedzieć... lecz teraz nie powinien się za szybko pozbierać. Łapię Teda za kołnierz i pasek, pociągam, by sprawić mu ból i ciskam nim z całej siły w kierunku Richarda. Słysząc strzał i wrzask, jakby ktoś kaczkę rozdeptał. To blondasek utargował w sam tyłek, doskonale; kurna chata, wielki rudzielec rusza się coraz bardziej... pędzę ku schodom. W biegu wołam:

— Będziesz miała swoje pieniądze jutro, Gaya. Obiecuję.

Wbiegam na górę, to już drugi raz, ale tym razem ostatni. Oto i moja bryka. Wskakuję błyskawicznie. Szczerze mówiąc nie zauważyłem, bym przechodził przez drzwi... no tak, jasna sprawa, przed chwilą je wyłamałem. Noga na gaz... Startuję z trójki, bo bardzo mi się śpieszy... Uf...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przejeżdżam pięćdziesiąt metrów na pełnym gazie i zaczynam się czuć lepiej, po czym nagle czuję coś na szyi, poniżej kołnierzyka — jest to zimne i twarde. I ktoś się odzywa. Co za głos!... Znowu pedał?

— Nie ruszaj się... nie odwracaj się. Jedź dalej tamtędy...

Nie odwracam się, bo przychodzi mi do głowy, że ten wihajster na szyi niekoniecznie musi wpłynąć dodatnio na moje zdrowie, lecz nie jestem ślepakiem i rzucam oczkiem w lusterko wsteczne. No proszę... sądziłem, że to mężczyzna... a to kobieta. Och, w porządku... z takim głosem i wyglądem to z pewnością siostrzenica niejakiej Safony, która wypisywała różne świństwa po grecku, żeby nikt ich nie mógł zrozumieć... była to pewno taka resztką wstydu...

— Czym mógłbym pani służyć? — pytam.

— Ja — odpowiada powoli — nie ryzykuję niczym, ale na twoim miejscu nie wtykałabym nosa w nie swoje sprawy.

— Wszyscy mi to mówią — stwierdzam — choć jestem najdyskretniejszym facetem na ziemi. Gdybyś знаła Toma Collinsa...

— Dość tych pierdoł — mówi. — Nie występujemy w filmie.

— Jasne, że nie — odpowiadam. — W filmie pocałowalibyśmy się już co najmniej ze trzy razy. A tak między nami mówiąc, sprawiłoby mi to cholerną przyjemność.

I bęc! Dostaję w arbuź ręką. Jak tak dalej pójdzie, to dzisiejszego wieczora będę miał głowę jak prawdziwa ulęgałka.

— Powiedziałam: dość pierdoł. I powtarzam. A kiedy coś mówię, to lubię, jak się na to zwraca uwagę.

— Zawracasz mi tyłek, moja piękna — odpowiadam. — Przede wszystkim nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jeśli nie powiesz mi, kim jesteś, to pakuję brykę w pierwszego napotkanego gliniarza i wtedy zobaczymy, jak się z tego wyliżesz.

W tym samym czasie dodaję żaru cadillakowi, lecz tamta wsza nie pęka, lecz obsypuje mnie taką garścią kokosów w pierwszym gatunku, jakby co najmniej była instruktorką z opieki społecznej.

— Ty ścierwo — mówię.

— Skręć w prawo.

Nie wiem dlaczego jestem posłuszny. Tą drogą wyjeżdża się z miasta.

— Powiem ci, jak się nazywam — mówi. — Louise Walcott.

— Ach!...

Udaję, że sobie przypominam.

— Jesteś matką tego wstrętnego pedryła...

Tym razem ryczę i podskakuję w powietrze, bo wbiła mi szpilkę w comber. Cadillac jedzie zygzakiem, a ja korzystam z tego chcąc coś wymyślić, ale ta cholerna małpa ma niezłe oko.

— Włącz z powrotem światła — mówi. — I nie próbuj mnie wyrolować najeżdżając na gliniarza, bo ukatrupię cię natychmiast, razem z nim do kupy.

Oto opis panienki: fizjonomia korzystna, brązowa, cera matowa, włosy krótkie, usta ostre.

Moim zdaniem ta lalunia jest kompletnie popaprana. Chyba za dużo słuchała radia.

— Jestem siostrą Richarda Walcotta — ciągnie dalej. — I Richard robi to, co mu każe. A jeśli chodzi o myszkę, którą się zajmuje, to ja mu się kazałam nią zająć.

— Domyślam się. On sam, przy takim wyglądzie, wolałby zapewne zajmować się marynarzykami.

— Co kto lubi — odpowiada. — W każdym razie ty możesz spać spokojnie. Nikt ci nigdy nie złoży propozycji.

Oho! Próbuje mnie obrazić. Jeszcze się okaże z tymi propozycjami. Niech no się tylko z tego wygrzebię.

— Dzisiejszego wieczora — mówi — sprowadziłam cię, żeby ci lekko przefasonowali portret. A kiedy zobaczyłam, że sprawy przybierają zły obrót, wsiadłam do twojej bryki. Bo musiałeś dostać nauczkę. Nie szkodzi, że nazywasz się Francis Deacon, mała lekcyjka przyda ci się na pewno. Oczywiście, nie skasujemy cię natychmiast, zaś jeśli chodzi o uślicznienie, to zrobiono niezły początek, z tym że można by to jeszcze trochę poprawić.

To mówiąc wali mnie w czaszkę, jakby chciała zadzwonić na Anioł Pański. Ta bładź nieźle wybrała moment, na samym środku zakrętu. Puszczam kierownicę i łapię się obiema rękami za głowę, zaś samochód wali w dekorację. Całe szczęście odruchowo zahamowałem, lecz jechałem zbyt szybko. Mam dość czasu, by osłonić twarz łokciem, żeby nie wyrycić nią w przednią szybę.

Odgłos jest przeraźliwy, kiedy wpadam w witrynę i rozkwaszam kilometry serdelków.

Kiedy powracam do zmysłów, stwierdzam, że ta wstrętna dziwka zerwała się, a co najmniej czterdziestu facetów otacza moją brykę, z czego jeden wydziera się znacznie głośniej od pozostałych. To pewnie właściciel sklepu mięsnego. Cóż, przypuszczam, iż jest ubezpieczony; co do mnie, to robię rzecz najrozsądniejszą w danej chwili, wobec całej tej publiki — odpływam wielkim autem. Podnoszą mnie, usadzają wygodnie w karetkce, a ja ani pisnę. Wszystko kręci mi się w głowie, syreny gliniarzy, rudzielce, cioty, niezły koktajl... W sumie nie doliczyłem się ilości ciosów przyjętych na łeb... ten rachunek mnie wykańcza... odjeżdżam na dobre...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oczywiście za pomocą szmalu wszystko można zatuszować, nawet cadillaca w środku wystawy ze świńskim towarem i już nazajutrz nie przejmuję się tą historią. Mogli stwierdzić, że nie byłem pijany i wyjaśniłem wypadek jakimś paskudztwem, które wpadło mi do oka, kiedy wchodziłem w zakręt. Zdaje się, że mój jarecki wsadził forszę w towarzystwo ubezpie-

czeniuowe, a to zawsze pomaga załatwiać takie sprawy. Nie załatwia natomiast sprawy tego, co służy mi za czaszkę. Więcej tam guzów niż czegokolwiek innego i kiedy wkładam kapelusz, efekt jest przejmujący zarówno dla mnie, jak i dla tych, którzy się przyglądają. Krótko mówiąc, ponieważ nie muszę siedzieć w kapeluszu w sypialni, trochę się pocieszam i patrzę jak Ritchie, mój braciak, próbuje przygotować lufę z zawartości mego barku. W życiu nie widziałem gorszego fajtlapy od Ritchie'ego, kiedy pomyślę, że studiuje medycynę, drzę o jego pacjentów. Mam nadzieję, że zostanie psychiatrą, w tej dziedzinie nawet najgorsze łamagi jakos sobie radzą, wystarczy być bardziej kopniętym od najbardziej kopniętego wśród własnych pacjentów. Wreszcie Ritchie doprowadza do końca ów delikatny manewr i podaje mi szklanekę, której połowę zawartości wylewam sobie za koszulę. Mam na to usprawiedliwienie, gdyż pod prawym okiem sterczy mi półkilowa śliwa, a każdy wie, że patrząc jednym okiem traci się poczucie odległości. W każdym razie uważam za niestosowne, by młodszy brat robił sobie ze starszego jaja i to w tak bezczelny sposób.

— Ritchie — mówię — kiedy dasz sobie obić głowę jak twój braciszek, nie będzie cię to wcale tak bawiło.

— Nie widzę powodów — odpowiada.

— No, na twoim miejscu, Ritchie, nie byłbym tego taki pewien. Bardzo mi przykro, ale wpuściłem się w kanał. Chwila nieuwagi.

Nie wygląda, by zbytnio go to wzruszało. Ritchie w gruncie rzeczy to facet ekstra. Opowiaduję mu całą imprezę i kopara opada mu tak, że mógłby tamtędy przepłynąć cały Potomak.

— Tak więc — podsumowuję — odpietrzą się ode mnie aż do wieczora, czekając, bym przekazał dziesięć tysięcy dolarów Gayi. Mam wrażenie, że będzie gorąco. I to dla nas obu.

— A co zrobimy z dziesięcioma patykami? — pyta braciak.

No proszę, szybko kuma.

— Zużyjemy je na znalezienie nowej meliny. I na zakup całego niezbędnego towaru. Bo trzeba się po pierwsze zabunkrować, po drugie zakamuflować.

Podaję mu listę, którą sporządziłem, kiedy bełtał whisky z wachą. Tym razem noktowizory jak nic wyskoczą mu z oprawek z metalicznym odgłosem.

— Co ty chcesz z tym robić? — pyta. — Masz jakieś dupcie na utrzymaniu?

— To dla nas — odpowiadam.

— Co? Sukienki, staniki, fi... Francis, przebierasz miarę. Nigdy nie ośmielę się poprosić o to w sklepie.

— To poprosisz jakąś kumpelkę — odpowiadam. — Od jutra nazywam się Diana, a ty

Gryzelda. Oczywiście, możesz wybrać sobie inne imię.

— Francis — mówi — jesteś stuknięty. Za mocno ci nakładli po łbie.

— Holender — mówię — wolisz, żeby znaleźli cię w talarkach. Posłuchaj. To wszystko są cioty i lesbije. Jeśli ta Louisa Walcott naprawdę dowodzi bandą, możesz postawić swoją koszulę, że nie mamy najmniejszych szans dowiedzieć się czegokolwiek pozostając zwykłymi mężczyznami. Więc chcąc działać, wolę się umalować na lalkę. Być może od czasu do czasu uzyskamy jakąś drobną rekompensatę.

Zastanawia się przez pięć minut.

— W gruncie rzeczy — powiada — prawdopodobnie masz rację... lecz na Boga, czy wyobrażasz sobie mnie, jak proszę w sklepie o gumowy biust?

Zaczerwienia się aż po uszy. Niech to gęś, ci studenci medycyny nie są zbyt przebiegli.

— Spadaj już — mówię, i trochę się denerwuję, bo tamci nie tracą czasu, spokojna głowa. — Zadzwoń do Ann, to ci pomoże.

— Czy mogę zapytać, dlaczego chcesz się wtrącać w sprawy Gayi? — mówi przed odejściem.

— Bo to kumpelka — odpowiadam — i nie mam życzenia przyglądać się, jak robi z siebie osła.

— Ale to nie twoja działka. A może byś zawiadomił policję?

— Naprawdę bawiłoby cię to? — pytam.

— Och! Niezbyt za nimi przepadam — odpowiada Ritchie. — Ale to śmieszne, że tak się nią zajmujesz.

Przygląda mi się podejrzliwie i wychodzi wzruszając ramionami. Ten Ritchie to jednak fajny facet. No i fartownie wróciła moda na krótkie włosy. Ale uważam, że to zabawne, iż wszystko zaczęło się na balu przebierańców u Gayi. Oglądam moje kończyny. Włosy jeszcze nie odrosły, w porządku...

Po czym w samotności zaczynam pękać ze śmiechu myśląc o tym, jaki pysk robi Ritchie u Chińczyka mamusi, kiedy ten wyrwie mu jego włoski. Rechocząc, udaje mi się zachować kamienną twarz, bo tak jest bardziej po indiańsku, a poza tym lepiej to wpływa na moją czaszkę.

W tym momencie dzwoni telefon. Zawsze tak jest. Ten nieszczęsny przyrząd psuje najlepsze chwile. Podnoszę słuchawkę złorzecząc.

— Halo — mówię. — To ja we własnej osobie.

— Francis Deacon? — pyta głos.

Rozpoznaję go. To niejaka Louise Walcott.

— Kto tam przy aparacie? — pytam. — Prezydent?

— Tylko bez pierdoł — ciągnie dalej. — Tu Louise Walcott. I dzwonię z automatu, więc nie ma mowy o gliniarzach, jasne? To co z tymi dziesięcioma tysiącami dolarów?

— Robią się — odpieram.

— I będą wieczorem przed piątą? — pyta. — Bo inaczej zrobimy ci kipisz.

— Ale z ciebie dziwka — odpowiadam i myślę o tych dziesięciu tysiącach dolarów... lecz kurde balans, one są nadal w bryce... przyczepione przyklepcem do kolumny kierowniczej.

— Nie marnuj śliny — mówi Louise. — Jeśli to wszystko co masz mi do powiedzenia, możesz to sobie wsadzić w buty. Jeśli skrewisz, weźmiemy się za ciebie. Kosztowało cię to już skarpetę, może kosztować jeszcze więcej.

— Zawsze to tylko skarpeta kontra Chriscraft — odpieram. — Na razie jestem górą. No i mam dziesięć patoli. Nie zapomnij.

No proszę, rzecz by można, że panienka zaczyna puszczać dym uszami. Zrobiłbym sobie jeszcze większe sadze, gdyby nie lęk, że rozboli mnie głowa, jak przed chwilą.

— Ty zasrańcu — mówi — nie próbuj wyciąć jakiegoś numeru, bo inaczej uważaj na tyłek.

— Mnie nic nie grozi — odpowiadam. — Jestem heteroseksualistą.

Rzuca słuchawką. Lecz na Boga, te dziesięć tysięcy dolarów, całkiem o nich zapomniałem. Bez jaj... chciałbym bardzo spróbować wyciągnąć Gayę z tego łąjna, ale nie za własne pieniądze. Dobra. Muszę się ubrać mniej więcej stosownie i udać się na poszukiwanie tych kawałków.

Sprężam się. Bez dwóch zdań, boli mnie wszędzie. Ale nie za bardzo. Forma jest jeszcze całkiem możliwa. Mogę wlać jeszcze dwóm, lub czterem. Tylko myśleć nie mogę zbyt intensywnie.

Mimo to mam żal do siebie, że wpuściłem Ritchie'ego w maliny. Jestem mu winien pewną rekompensatę. Podnoszę słuchawkę i wykręcam numer Chińczyka.

— Halo! Tu Francis Deacon. Może pan przyjdź do mnie? Mam dla pana robotę.

Mamrocze coś tam na końcu sznura. Przeklęty Wu Chang! Ach! Ci Chińczycy...

— Tak — odpowiadam — to znowu bal kostiumowy. Nie ja, mój braciak. Gdyby mnie nie było kiedy pan przyjdzie, proszę wejść i poczekać na mnie. Zostawiam klucz pod chodnikiem na ostatnim stopniu. Niech pan przyjdzie koło drugiej.

Dobra. Jedna sprawa załatwiona i będę mógł się pośmiać widząc minę Ritchie'ego. Łapię swoją pokrywkę i schodzę. Przejeżdża taksówka. Zatrzymuję ją. Jest moja. A tak prawdę mówiąc, to dokąd mam jechać?

Nagle stwierdzam, że nie wiem, co zrobiono z moją bryką. Dobra, zaraz się dowiemy.

— Niech się pan zatrzyma przy pierwszym napotkanym gliniarzu — mówię do kierowcy.

— Jeśli o to chodzi — odpowiada — to odmawiam. Nie moja taksówka.

— Ale ja chcę dostać od niego po prostu pewien cynk — mówię. — A może pan będziesz wiedział. Wczoraj wpięprzyłłem skarpetę do rzeźnika, w związku z latającym spodkiem, który mi wpadł do oka. Przypuszczam, że jej tam nie zostawili, gdyż utrudniałaby ruch. Czy wie pan co z nimi robią?

— O tym — odpowiada kierowca — nie mam zielonego pojęcia. Ale może jakiś gliniarz będzie wiedział.

— To dlatego prosiłem o zatrzymanie się przy pierwszym napotkanym gliniarzu.

— Pewno, ale ja ich nie lubię — stwierdza kierowca.

— Dobra — odpowiadam. — To wysadź mnie tutaj i spadaj.

Wysiadam.

— Ale ja jeszcze nie ruszyłem, jeśli pan zauważył — mówi kierowca.

— No i świetnie! Możesz sobie pogwizdać zamiast zapłaty za kurs — odpowiadam.

Macham na drugą przejeżdżającą taksówkę. Ten nie zatrzymuje się w ogóle. Jeszcze lepiej. Pójdę piechotą. Na pewno są jacyś gliniarze w tym mieście, gdy tylko przejadę na czerwonym świetle, zaraz pół tuzina depcze mi po piętach.

Ach! Oto jeden.

— Panie władzo — mówię — chciałbym się dowiedzieć, co robią z samochodami z wypadków.

— Miałeś pan wypadek? — pyta, wyciągając notes.

— Owszem — odpowiadam. — Wczoraj. Wjechałem do sklepu mięsnego.

— Gdzie? — pyta.

— To nie ma najmniejszego znaczenia — odpowiadam — samochodu już tam z pewnością nie ma. Chciałbym wiedzieć, co dzieje się z nimi potem.

— A po co on panu? — pyta. — Przypuszczam, że nie chodzi.

— To — odpowiadam — moja sprawa.

— Ubezpieczalnia wypłaciła? — dopytuje się.

— Tak — odpowiadam.

— Więc to nie jest już pańska bryka — odpowiada. — Pił pan?

— Skąd — odpowiadam. — Jakieś świństwo wpadło mi do oka.

— Nooo... — mówi, chowając notes. — Wszystkie moczymordy tak mówią.

— Chyba panu dupę zawracam — zauważam grzecznie i spadam.

Bez dwóch zdań — co za k... rasa.

Nie zrobiwszy jeszcze dwóch metrów mam wrażenie, że odbywa się trzęsienie ziemi. Zadzieram nos. Nie... nic się nie rusza. To ja podryguję. A dokładniej, to gliniarz mną potrząsa.

— Co pan powiedział odchodząc? — pyta.

Być może zwracałem już na to waszą uwagę, lecz powtarzam, że jestem nad wyraz cierpliwy. Jeśli powiedziałem temu glinie: zawracam panu dupę, to znaczy, że tak myślałem i gdzie tu zło? Osobiście uważam, że szczerłość jest najważniejsza.

— Niech pan posłucha — mówię — uczył mnie pan moczymordą, a ja odpowiedziałem to, co odpowiedziałem. To pan zaczął, no nie? Więc zamknij się pan i daj mi święty spokój, bo narobisz sobie pan kłopotu. Rób pan to wszędzie, byle nie w Waszyngtonie. A poza tym nie piję nic prócz mineralnej.

Na takie dictum już nic nie odpowiada. Dobry Boże, ależ ma wstrętną gębę. Już widzę moment, kiedy zaciągnie mnie na komisariat. Nie. Burczy coś pod nosem i puszcza mnie.

A teraz telefon.

Wchodzę do kabiny i proszę swoją agencję ubezpieczeniową. Odpowiada sekretarka.

— Tu Deacon — mówię. — Mój samochód miał wczoraj wypadek. Numer taki a taki.

— Gdzie? — pyta.

— Niech się pani nie martwi — mówię — w temacie ubezpieczenia jesteście kwita. Prawdę mówiąc, nie chcę niczego przed panią ukrywać, wjechałem do mięsnego.

— Lepiej było do perfumerii — stwierdza. — Osobiście bym wołała.

— Niech pani kiedy do mnie zadzwoni — proponuję — to jakoś to załatwimy. Lecz problem jest taki, że ja chcę wiedzieć, gdzie on jest teraz.

— Myśli pan, że nie został u rzeźnika? — pyta.

— Z pewnością nie — odpowiadam. — Nie cierpi kielbasy, karmię go kremem z anchois.

Rechoce. I ma rację. Bardzo jestem zabawny.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie je wsadzają — mówi. — Prawdopodobnie zaholowano go do jakiegoś warsztatu, przed wywiezieniem na złom.

— Sądzi pani? — pytam. — Tylko do jakiego?

— Ach! Zbyt wiele pan wymaga — odpowiada. — Tylko tutaj mamy trzysta warsztatów na usługach towarzystwa, więc sam pan rozumie... Musi się pan skontaktować ze swym agentem i ten pana poinformuje.

— Ale jego nie ma nigdy w ciągu dnia — odpowiadam — a to cholernie pilne. W tej bryce zostawiłem wszystkie moje papiery.

— Ach! nic nie mogę poradzić. Ale jeśli chodzi o perfumy, to może pan do mnie zadzwonić. Niech pan prosi Dorothy Shearing.

— O.K. Dot — odpowiadam — Na razie, dzięki.

No cóż, jestem coraz bardziej wkurzony. (Zatrzymałem się w porę, co?) Najwyraźniej tylko mój agent mógłby udzielić mi informacji, ale stawiam pięćdziesiąt do jednego, że nie złapię go w ciągu całego dnia. A już jest pierwsza. Ritchie będzie około drugiej. Wu Chang również. Cóż mogę zrobić. Nie zależy mi wcale na spotkaniu z braciakiem przed jego przejściem przez ręce Chińczyka, bo nie mógłbym się powstrzymać przed wygadaniem, a to byłby już koniec mojej czaszki.

Naprzód, coś jednak próbuję robić. Dzwonię do mojego agenta. Odpowiada mi sekretarka, jedna mniej, jedna więcej. Rozpoczynam moją nawijkę.

Ta również nic nie wie. Uważa, że śpieszę się nadmiernie, że ekspert obejrzy samochód, o ile już tego nie zrobił, i że resztą nie powinienem się wcale zajmować, sprawa jest już uregulowana z towarzystwem ubezpieczeniowym, w końcu nikogo nie przejechałem i nie jest to sprawa bardzo ważna.

Dostrzegam w tym rękę mojego rodziciela. Przy jego manii zapinania wszystkiego na ostatni guzik, z pewnością kazał im, by sprawę potraktowali jak jego własną.

Lecz na Boga, muszę znaleźć tę brykę.

Otwieram książkę telefoniczną pod hasłem Autopomoc. Mowy nie ma. Jest ich co najmniej ze sto pięćdziesiąt.

Nie ma wyjścia. Jestem załatwiony.

I nie ma mowy o proszeniu jareckiego o dziesięć tysięcy dolarów, żeby je dać tej pin-dzie, Louise Walcott.

Po prostu od piątej lepiej będzie dla Ritchie'ego i dla mnie, jeśli się gdzieś zamelinujemy.

Dobra. Na dzisiaj daję spokój z samochodem. Na razie nie warto o tym myśleć.

Teraz najpilniejsza sprawa... to melina. A to jeszcze najprostsze...

No... naprzód...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Summa summarum jestem przed moim domem o wpół do piątej. Odniosłem połowiczny sukces. Przed drzwiami stoi stary buick Ritchie'ego, więc przypuszczam, że jest na górze i właśnie płacze z rozpaczy nad swymi bezwłosym nogami.

Już mam wejść, kiedy wypada Ritchie, całkiem blady i w pośpiechu. Wygląda jakby mnie nie poznawał i aż podskakuje kiedy do niego przemawiam.

— Wsiadaj szybko do mojej bryki — nakazuje.

Posłusznie wykonuję. Siada za kierownicę i startujemy!

— Dopiero przyszedłeś? — pytam.

— Owszem — odpowiada. — Na samym środku twojej sypialni leży jakiś złotek z nożem we flaczorach. Stokrotne dzięki za taką niespodziankę.

— Jak tam wszedłeś? — pytam.

— Drzwi są otwarte — odpowiada. — Wszystko wybebeszone, burdel jakby tam mały kopulowały.

— To Wu Chang — wyjaśniam. — Zadzwoiłem do niego, żeby przyszedł zdepilować ci nogi. Żebyś też skorzystał z mego doświadczenia. Lecz myślałem, że będziesz tam o drugiej. Mówisz, że dał się zaciukać?

— Nic dodać — mówi Ritchie. — Ale żyje. Natychmiast zatelefonowałem po policję i dlatego trzeba spadać na czwórce.

— W tym są tylko trzy biegi — zauważam.

— A to szkoda — odpiera. — Marna konstrukcja.

— To te myszki przyszły poszperać u mnie. Myślały, że jak się same obsłużą, to będą miały szybciej ten szmal. Ale co za wszy garbate, dziabnąć takiego starego pocziwca jak Wu Chang. To moja wina, do licha, ja do niego zadzwoniłem.

— Nie mogłeś wiedzieć — mówi Ritchie. — Powtarzam ci, sędzę, że żyje.

Słyszę syreny i widzimy jak przejeżdżają wozy i motory policyjne.

— Cios we flaki — wyjaśnia — nie jest zbyt szkodliwy i łatwo można zaszyć, jeśli nie przetniesz arterii wątrobowej, czy samej wątroby. I jeśli uda się powstrzymać infekcję...

— Dobrze zrobiłeś wzywając policję — mówię. — Ale wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.

— Jeśli się z tego wykaraska, to im powie, że to ani ty, ani ja.

— Ale wiesz — odpieram. — Mam wrażenie, że się obrazi.

— Mówię ci — ciągnie Ritchie — wszystko wychrzaniły w powietrze. Ani jeden mebel się nie uchował.

— Dobra, dobra — mówię. — Odbijemy sobie na tych dziesięciu patykach. A propos, muszę ci powiedzieć, że nie mam ich.

Teraz Ritchie nie dziwi się już niczemu. Wtajemniczam go i dorzucam:

— Poza tym znalazłem melinę. Jedno z tych umeblowanych mieszkań, nędzne i pełne pluskiew. Administratorowi dałem do zrozumienia, że mam dwie kumpelki, na których mi zależy i że on na pewno zarobi na życie, jeśli będzie miły. Tyle że musimy tam pójść przebrane za żabusie.

— Wszystko jest w bryce — odpowiada Ritchie. — Dwie pełne walizy.

— Dobra — mówię. — Teraz jedyny problem, to miejsce, żeby się przebrać.

— Co ty — woła Ritchie. — Przecież chyba nie będziemy przebrani za myszki przez cały czas...

— Och! To kwestia kilku dni — odpowiadam, by mu dodać otuchy.

— A co zrobisz o piątej? — pyta. — W zasadzie powinieneś zanieść forszę Gayi.

— Nie pójdę tam... — odpowiadam.

— Byłaby to jednak okazja, żeby skubnąć jedną z nich — mówi.

— A po co?

— Żeby ją skłonić do gadania.

Mój braciak jest pełen świetnych pomysłów.

— A przy okazji będzie można z tego skorzystać, żeby je poddać kuracji — dodaje Ritchie. — Gdyż bardzo często lesbijki to dziewczyny, którym się przekręciło, bo onegdaj nie zostały dopieszczane. Trafiły na jakichś brutalni, typy, co je zranili bądź przymusili. Gdyby im to zrobić w sposób miły... Na pewno odzyskałyby smak.

Ten mój braciszek to ma kiepełę. Ciekawie zapowiada się ta robótka.

A poza tym strzelić sobie lesbijkę — zawsze mi to imponowało...

W gruncie rzeczy to, co właśnie teraz robimy, to coś w rodzaju przedsięwzięcia resocjalizacyjnego dla nieprzystosowanych.

Pocziwi z nas goście.

Lecz bardzo mi przykro z powodu papy Wu Changa.

Ritchie wyciąga mnie z zamyślenia.

— Pojedziemy do Potomac Club — mówi. — Weźmiemy „Kane juniora” pod ramię,

poradzimy mu, żeby nas nie podglądał i tymczasem przebierzemy się.

I Ritchie zatrzymuje się przed klubem. Ten chłopak to nie jakiś półgłówek. Wszystko już wykombinował w swojej głowie. Szczerze mówiąc, dobrze zrobił, bo gdybym tak ja się musiał posłużyć moją... dałoby to zabawne rezultaty, pełne komplikacji.

Kiedy dochodzimy do łodzi, mówię Ritchie'emu:

— Musimy obaj pójść do Gayi. Nie warto się teraz rozdzielać.

— Oczywiście, pójdziemy obaj — mówi Ritchie. — A nawet obie. Spójrz na to.

Pokazuje mi piękną parę okularów w różowych oprawkach.

— Czyż nie będę w tym urocza? — pyta.

— Jeśli w tym wystąpisz, Ritchie, nie będę mógł na ciebie patrzeć — odpowiadam.

Mój sławetny spokój na chwilę szlag trafił.

— No i jeszcze — dodaje — nie jestem pewien, czy wszystko to wpłynie dodatnio na moje egzaminy.

— Gang Walcottów nie będzie miał z nami dużo roboty — mówię. — Wierz mi. Rozpieprzymy ich w trymiga. Będziesz miał czas, żeby się zabrać za swoje egzaminy.

Dobry Boże, gdybym wiedział na co się porywam, sądzę, że nie zgrywałbym takiego zucha. Teraz, kiedy jest już po wszystkim i kiedy to piszę, dopiero widzę, z czego robiłem sobie jaja!

Ritchie otworzył boks. Wchodzimy, zamykamy drzwi. „Kane junior” stoi na wodzie w spokoju. Od strony wody boks jest zawsze otwarty, Ritchie nigdy nie opuszcza blaszanej zasłony, lecz jest dość mroczno, więc trzeba zapalić światło, i tym samym po raz pierwszy ją opuścić. Podchodzę do niej i kręcę korbką. Wszystko jest przerdzewiałe — prawdziwa przyjemność.

Nie opowiadam wam w szczegółach naszego kamuflażu, lecz naprawdę ubaw jest po pachy. Jestem przyzwyczajony do sztucznego biustu, ale dla Ritchie'ego jest to pierwszy raz i trochę się dusi.

— Panie święty — mówi — to niemożliwe, żeby one łączyły z takim ustrojstwem. Grzeje to, że można oszaleć.

— Co chcesz — odpowiadam — trzeba przez to przejść. Kłopot w tym, że zawsze może nam czegoś przybyć... lecz skasowanie naszych wrodzonych wdzięków to całkiem inna robota.

— Wziąłem cholernie obcisłe slipy — mówi Ritchie. — Sportowe superwytrzymałe. A poza tym mamy dość luźne kiecki.

— Trzeba się będzie golić dwa razy dziennie. To może być trochę podejrzane.

— Pomyślałem o tym — odpowiada. — Kupiłem maszynki do golenia, które będziemy trzymać w torebkach.

— Razem z pistonówkami — mówię.

— Och, nie — odpowiada Ritchie. — Co tylko zechcesz, ale żadnej broni. Zawsze można palnąć jakąś głupotę.

— W bryce jest spluwa — zauważam — a tamci szybko mogą się dowiedzieć, że to twoja, przeczytawszy numery rejestracyjne.

— Nie — mówi Ritchie. — Wychodzimy z założenia, że nie nakryją nas od razu. Bez tego możemy sobie odpuścić już teraz.

Nie mamy specjalnie o czym dyskutować, więc milczymy i wygładzamy nasze pyszczki. Jako dziewczyna Ritchie sprawia dziwne wrażenie. Naprawdę wygląda jakby wyszedł prosto ze szkółki dla nadzianych debili... Ja wyglądam niezwykle intelektualnie. Nie za dużo różu, pudru wcale, albo niewiele, bućki na płaskim obcasie — jestem czarująca.

Boks „Kane juniora” pachnie pudrem ryżowym i lakierem do paznokci. Razem ze smrodem benzyny tworzy to niezłą miksturę.

Wkładamy nasze męskie ubrania do walizek i kitramy wszystko w kufrze łodzi.

— Wychodzimy — mówię do Ritchie'ego.

Jeszcze się waha.

— A jeśli spotkamy kogoś znajomego? — pyta.

— Będzie to świetna okazja na przeprowadzenie testu — odpowiadam.

Mam piękne wdzianko z jasnobłękitnej bawełny i sukienkę z szarej flaneli. Ritchie ma bardzo prostą sukienkę z drukowanej tkaniny. Naprawdę nie można nas wziąć za chłopców... Mamy spiczaste piersi...

Wychodzimy, ja pierwszy. Na pomoście aż się mrowi. Słońce praży, łodzie przyplływają i odpływają, silniki warczą, ludzie łążą parami w kostiumach kąpielowych, jest na co popatrzyć. Nie uszliśmy jeszcze dziesięciu metrów, kiedy widzę Joan, jedną z wielkich przyjaciółek Ritchie'ego.

— Tylko nie podskakuj — nakazuję mu. — Nie znasz jej.

Przechodzi, mija nas bez spojrzenia. Patrzę na mojego braciaka. Krople potu lśnią mu w okolicy czoła. Ściskam go po przyjacielsku za ramię. Uśmiecha się do mnie.

— W porządku, Francis — mówi. — Naprzód.

A jednak, co za cholerstwo, ta historia z Chińczykiem. Zwłaszcza że muszę wam coś powiedzieć... Ritchie nie ma na nogach ani jednego włoska.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zajeżdżamy do Gayi mniej więcej kwadrans po piątej. Bryka Ritchie'ego to kabriolet, więc zostawiliśmy opuszczony dach, żeby śledzący nas ludzie (o ile są tacy) nie mieli podejrzeń widząc jak przybywamy.

Potrzebny jest nam jednak jakiś pretekst, żeby się zatrzymać. W sumie, po przedyskutowaniu problemu z Ritchie'em, ustaliśmy, że zatrzymujemy się po prostu i gadamy, czytając gazetę, jakbyśmy nie byli zgodni, na co pójdziemy do kina dzisiaj wieczora.

Wzdłuż ulicy stoją samochody, zaparkowane poprzecznie, pośród których odkrywamy dwa mogące nas zainteresować.

Nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać. Trochę mnie to denerwuje, bo muszę myśleć o różnych rzeczach i dumam o starym Wu Changu z rozprutym bandziochem, czuję sympatię do Chińczyka i bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Ritchie szturcha mnie łokciem. Właśnie trzasnęła brama zamykająca wejście do ogrodu i wychodzi stamtąd dziewczyna. Spogląda w prawo, w lewo, patrzy na zegarek i wsiada do pierwszego samochodu, nowiuteńkiego, niebieskiego chevroleta. Nosi jasny kostium i jest bez kapelusza.

Czekam aż zawróci, by pojechać do centrum, lecz ona podąża prosto. Nie mam pojęcia dokąd jedzie.

Skręca w prawo w Goldboro Road i oto jesteśmy na środku Betheseda... i w lewo, na autostradę Rockville Pike. Tam dodaje gazu.

Bez zwłoki podążamy za nią w pewnej odległości. W takim tempie szybko dojedzie do Frederick... Nie, skręca w lewo... to się nazywa Grosvenor Lane. W prawo, a potem znowu w lewo. Tym razem droga jest o wiele gorsza i wkrótce kończy się asfalt. Już nie zastanawiam się gdzie jestem. Po prostu przyciskam do dechy. Ritchie stuka mnie łokciem.

— Nie możemy pozwolić jej, by dojechała. W przeciwnym razie jesteśmy ugotowani. Sami włazimy im w łapy.

Przyciskam jeszcze bardziej.

Buick Ritchie'ego jest starszy, lecz ma o trzydzieści koni więcej od chevroleta. Pędzimy. Wyprzedzamy ją i spychamy w prawo. Trąbi. Blokuję ją jak złoto. Zatrzymujemy się o trzy milimetry od siebie. Ritchie przesiada się do wozu i przystawia dziewczynie spluwę pod pachę.

— Jedź za buickiem — nakazuje.

Nie pisnęła ani słowa i rusza za mną. Mam nadzieję, że się nie pomyliliśmy i nie jest to jakaś przyjaciółka Gayi... zdziwiłoby mnie to, muszę wyznać.

Skręcam w małą, opuszczoną dróżkę. Są tam drzewa i kiepska widoczność. To jest właśnie to, czego szukamy.

Dość szybko się zatrzymuję, Chevrolet stopuje za mną. Wyskakuję na ziemię — oczywiście bez otwierania drzwiczek, stary numer. Zaskakuję tym nieco naszą brankę.

— Czego chcecie? — pyta.

Ritchie schował swoją spluwę w samochodzie i maca ją na wszelki wypadek, ale dość zręcznie, tak, by dziewczyna uwierzyła w coś zgoła przeciwnego. Jej torebka pozostała w samochodzie, więc z tej strony niczym nie ryzykujemy.

Nie ma co tu robić ceregieli. Przechodzę z dziewczyną za samochód i obejmuję ją. Przyglądam się jej z bliska. Jest młoda, ma krótko obcięte włosy, na chłopaka, surową minę, lecz nie jest brzydka. Prawie nie ma piersi, taka chłopczyca.

Przyciążam ją do siebie i całuję w usta, wkładając w to całe uczucie należne tej interesującej operacji.

Trwa to stosowną ilość czasu. Notuję dla przyszłych pokoleń, że zamyka oczy w dwudziestej sekundzie, a w dwudziestej piątej nic, co chroniły jej wargi nie stanowi dla mnie tajemnicy.

O mamó, nieźle całuje... Gdyby nie miała tej przeklętej złotej bransoletki na kostce, rzekłbym: szczęśliwy jej kochanek... lecz ma ją i wściekam się myśląc, że gdybym był chłopcem cały ten delikatny towar byłby dla mnie stracony.

Ponieważ zdaje się być pozytywnie nastawiona i pragnie podjąć konwersację, sadzam ją na trawie i kontynuuję rękami.

Jej nogi są szczupłe, lecz nieźle zbudowane... i umięśnione...

— Czego chcecie? — powtarza, chcąc dać mi do zrozumienia, że nie straciła od tego głowy.

— Czyżbym nie wyrażała się dość jasno? — pytam.

.....
Wyrywa się jak piskorz, daje mi w łeb i zaczyna wrzeszczeć, bo wykręcam jej rękę.

Ritchie stoi na czujce i wcale nie jest skrępowany.

Ona nie boi się zbyt... dlaczego miałaby się bać dziewczyny? Może sobie najwyżej zadawać pytanie, jak to się dzieje, że jestem tak mocno zbudowana.

— Gryzeldo!

Ritchie podchodzi.

— Trzymaj ją za rękę.

Wykonuje posłusznie. Trzyma jej rękę ponad głową, podczas gdy ja przytrzymuję za

* Kropki reprezentują czynności szczególnie przyjemne, których propagowanie jest zabronione, gdyż człowiek ma prawo zachęcać innych, by się wzajemnie mordowali w Indochinach, lub gdzie indziej, lecz nie wolno mu nakłaniać bliźnich do uprawiania miłości.

wyciągnięte nogi. Cóż to za miły widok, taki płaski brzuch ładnej, szczupłej dziewczyny mającej podwiązki i słodkie gniazdko, gdzie niejednego ptaszka chętnie uwiłby sobie mieszkanko.

Naprzód, niech ma za swoje... i ja też.

No proszę, podoba jej się to... mam wrażenie, że mogę puścić jej nogi.

To dobry pomysł, bo w ten sposób mam jedną rękę wolną.

Wydaje okrzyk w chwili, gdy wślizguję się na nią... lecz jest już za późno. Ritchie też ją puszcza i powraca do obserwowania drogi... dyskretny ten mój brat... Dziewczyna otwiera oczy jak przejazd kolejowy.

— Łajdaku... — cedzi przez zęby.

Czuję się jak w nowym garniturze szytym na miarę... jest może ciut zbyt dopasowany, lecz za to co za urok przywdziania czegoś nie używanego... Tymczasem trzymam ją za przeguby i pochylam się, by ponownie ucałować jej usta. Próbuje mnie ugryźć. Dostyc mi się to podoba. Też gryzę.

Dziewczyna jęczy.

Zawód detektywa jest cholernie przyjemny.

Lecz nie wypada, bym przywłaszczył sobie najlepsze chwile tej pracy. Teraz kolej na Ritchie'ego.

Podnoszę się i poprawiam moją zbroję. Mamy farta, tą przeklętą drogą nikt nie chodzi.

Dziewczyna leży rozciągnięta na trawie w miłym nieładzie.

Być może uważacie nas za kretynów, Ritchie'ego i mnie, że przez trzy godziny charakteryzujemy się po to, by w chwilę później zdradzić się przed jedną myszką, iż posiadamy wszystko co trzeba, by być mężczyznami.

Lecz być może nie przypominacie sobie dokładnie naszej intencji.

A opowiadam wam niewielki fragment naszego dialogu, nie tylko dlatego, że śledząc tę lalunię siedzieliśmy w milczeniu. Otóż prawdę mówiąc wydało nam się, że byłoby uroczo mieszkać w umeblowanym apartamencie udając panienki, ale pod warunkiem trzymania pod ręką prawdziwej myszki.

A w takim przypadku najlepiej wziąć tę, którą musimy mieć na oku, to nas zmusi do przedsięwzięcia stosownych środków ostrożności,

— Ritchie — mówię — ona chyba czuje się lepiej w tej chwili, teraz twoja kolej.

Nie ociąga się.

Mój Ritchie podnosi kobitkę, przewiesza przez drzwi samochodu, jak gdyby opierała się o nie łokciami i każe mi ją trzymać w ten sposób.

.....

Gdyby przejeżdżał jakiś samochód, to w ich wyglądzie nie ma nic niestosownego... hmm... no, to znaczy, że w tej chwili dziewczyna odrzuca głowę w tył, na ramię Ritchie'ego, który całuje ją w okolicy ucha... Ona napina się, jakby miała zamiar wpaść w trans... jej lewa ręka odrywa się od drzwi i chwyta Ritchie'ego za biodro. Wydaje mi się, że nasza kumpelka wystartowała do siódmego nieba po raz drugi... Opada całkiem rozluźniona w ramiona Ritchie'ego, który unosi ją i wsadza do samochodu. Jak dla niej to zbyt wiele emocji.

— Bierz chevroleta — mówi Ritchie — zostawimy go gdzieś w mieście. Teraz wracamy i trochę namówimy do zeznań naszą kociczkę.

Dziewczyna leży wyciągnięta na tylnym siedzeniu. Na wszelki wypadek podnosimy dach samochodu i blokujemy drzwi.

Ruszamy. Podróż bez przygód; jedynie tuż przed Rockville Pike mijamy samochód, który zwalnia i zatrzymuje się. Skręcamy w Rockville i dodajemy gazu. Jeśli to Louise Walcott, to mogła rozpoznać chevroleta. Lecz jechaliśmy szybko, więc chyba nie mogła odczytać numerów. A chevrolety są dość często spotykane. Dla większego bezpieczeństwa grzejemy jeszcze szybciej i pół godziny później znajdujemy się w zaciszu naszego mieszkania na Pickford Place. Jesteśmy z siebie dość zadowoleni, z punktu widzenia moralnego, ma się rozumieć, bo to dobry uczynek, przywrócić tym biednym dziewczynom smak normalnej miłości... Naprawdę, one nie mają pojęcia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mieszkanie na Pickford jest najprostsze w świecie: dwa pokoje, łazienka i kuchyneczka, które wychodzą z jednej strony na nie kończący się korytarz, a z drugiej na podwórze. Znajduje się na szóstym piętrze budynku z czerwonych cegieł i betonu, dość lichego. Wewnątrz jest hall z przysypiającym portierem, niemodnymi, czerwonymi fotelami, zieloną roślinką i klatką przesadnej windy, która jest jednak więcej warta od schodów, pokrytych chodnikiem zdartym do ostatniej nitki. Wchodząc, widzi się od razu, co za kiepskie dziwki tu mieszkają. Nasze meble są prawdopodobnie podobne do tych z innych mieszkań, w niemodnym stylu i kupione na wyprzedaży. Są dwa tapczany, będzie można spać, a to najważniejsze.

Po wejściu zamykamy drzwi i urządzamy się. Ritchie wniósł specjalnie przygotowaną walizę, pełną istotnych drobiazgów, niezbędnych w mieszkaniu: picie, jedzenie, papierosy, mydło, ręczniki i całą masę innych rzeczy. Biorę whisky oraz wodę sodową i udaję się do kuchenki, by przygotować dla nas jakąś popitkę, bo na zewnątrz panuje upał, lecz w środku jest jeszcze goręcej. Stoi lodówka, jest włączona, świetnie, będziemy mieli lód.

Wracam z trzema szklankami na tacy.

Ritchie siedzi i łypie na myszkę, która nic nie mówi, tylko patrzy w drugą stronę wcinając paznokcie. Z psychoanalitycznego punktu widzenia to bardzo źle... Zrzucam wdzianko.

— Na pewno jest ci bardzo gorąco — mówię do dziewczyny. — Zdejmij kostium.

Patrzy na mnie. Niebrzydkie oczy ma ta dziewczyna. Jest w marnym nastroju.

— Jasne — mówi Ritchie — zdejmij kostium. A tak przy okazji, czy można by poznać twoje imię?

— Idźcie się wyświeczkować, bando alfonsów — odpowiada.

— Nie odwracajmy ról — odpiera Ritchie. — Jeśli komuś się to zdarzy, to na pewno nie nam.

Dziewczyna jest lekko osłupiała.

— Chyba nie zaczniecie od nowa?

— Krępowalibyśmy się.

Krztuszę się pijąc mego drinka i idę do kuchni. Tam przestaję kaszleć, bo nic mi nie stało w gardle, był to tylko pretekst i wrzucam w pośpiechu pół tuzina surowych jajek. Jeśli Ritchie przyłoży się do roboty, to nie wypada, żebym ja ryzykował niewydolnością. A jak twierdzą niektórzy, surowe jaja są niezawodne.

Wracam. Ritchie właśnie przemawia.

— Musisz wbić sobie do głowy, myszko, że nasze metody są równie niezawodne jak policyjne. Kiedy już z nami skończysz, będziesz żałować do trzeciej potęgi. Jak się nazywasz?

— Jeśli będę mówiła dacie mi święty spokój?

— Mowa — odpowiada Ritchie.

— A jeśli nie będę mówiła?

— To cię rozbierzemy i nakładziemy po tyłku, aż zmienisz zdanie.

— Więc będę mówiła — stwierdza.

I szczerzy się. Jednak ton uległ zmianie. Myślę że jeśli przed chwilą uczestowała nas alfonsami, to była to stara resztką złości, i że właśnie zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji.

— Naprzód — mówi Ritchie — nie wygłupiaj się. Pokazaliśmy tylko drobną część tego, co możemy ci zrobić.

— Drobną? — pyta. — Ale z ciebie skromniś.

Ritchie zaczerwienia się. Dziewczyna popija swego drinka.

— Posłuchajcie — mówi — obaj jesteście milusińscy. Przede wszystkim nie wyglądacie na dziewczyny i powinniście ściągnąć te okropieństwa, które wrzuciliście sobie na garba. Żadna prawdziwa dziewczyna nie mogłaby wykazać gorszego gustu.

— Zgoda — odpowiada Ritchie — zdejmijmy je. Ale musisz nam powiedzieć kim jesteś. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeszcze nie dokonaliśmy prezentacji.

— Pracuję dla Louise Walcott — mówi.

— Tyle to i my wiemy.

— Słuchajcie — ciągnie dalej — niezbyt ciekawa ze mnie koleżanka, lecz wam udało się mnie nabrać, bo to pierwszy raz kiedy... hmm... zrobiono mi to w ten sposób... więc trochę mnie to skołowało i puszcę farbę... ale pod jednym warunkiem. Jeśli opowiem wszystko co wiem, zatrzymacie mnie tutaj.

— Oczywiście — mówię. — W każdym wypadku.

— I wy mnie... ten...

— Co wieczór — mówi Ritchie.

— Obaj? — pyta.

— Owszem — odpowiadam — ale jeden po drugim, bo nie jesteśmy świntuchami.

— Dobrze — mówi. — Może byśmy się rozluźnili? Nazywam się Sheila Sedric.

— Cześć Sheila — mówię.

A Ritchie dodaje:

— Ja jestem Richard, a on Francisko. Siadaj — mówi.

Siada obok niego, lecz nie za blisko. Ja spoczywam na krześle naprzeciw nich.

— Podaj mi torebkę — mówi — chcę sobie przypudrować nos. Nieźleście mnie urządzili.

Podajemy, otwiera ją i zanim ktokolwiek zdążył zrobić cokolwiek, mamy przed nosem spory kaliber, zaś ona wstaje. Jeśli chodzi o och..alstwo, to wykazaliśmy pierwszoklasne.

— Nie ruszać się przyjemniaczki — mówi. — Bando zgniłków... wyobrażaliście sobie, że tak to się odbędzie?

Ręce mam złączone za krzesłem i nagle coś dostrzegam... na razie nie powiem wam co.

— Nie zastrzelę was — ciągnie — bo wolę, żeby Louise się sama wami zajęła... ale kiedy już przejdziecie przez jej łapy, będziecie mogli spokojnie zatrzymywać kobiety na drodze... Niczym nie będą ryzykowały... wtedy naprawdę przypasują wam babskie ciuchy.

Pewne jak w banku, że one nie mają pojęcia. Co za pomysł, żeby tracić czas na takie gadanie, zamiast się zerwać dopóki można. Bo jeśli o mnie chodzi, to zaraz zadziałam... a co do mojego fotela, mogę wam teraz wyznać, że jedna z jego podpórek jest oderwana... i w ułamku sekundy walę nią dziewczynę po ręce. Ona wyje, a splota upada na ziemię. Ritchie podniósł ją nim zdążyłem stęknąć. Dziewczyna trzyma się lewą ręką za prawą i płacze. Podchodzę, leję ją z prawej i z lewej, po czym popycham na tapczan. Przewraca się.

— I zamknij gębę — mówię. — Nie rób tu skandalu, bo cię uspiemy.

Nie szkodzi, że daliśmy się zrobić jak żółtodzioby. Bez tego połamanego krzesła trzeba by było wszystko rozpoczynać od zera. W czasie, gdy Ritchie obserwuje dziewczynę, biorę jej torebkę i przeszukuję. Nic oczywiście. Tylko prawo jazdy na nazwisko Donna Watson.

— No więc — mówi Ritchie — zaczynamy od nowa. Jak się nazywasz?

— Już ci mówiłam — burczy.

— Sheila Sedric?

Nie odpowiada. Podchodzę i bez zamachu daję jej niezłego klapsa w kichawę. Nie spodziewała się tego i po raz pierwszy naprawdę ma stracha.

— Przy następnym razie polecą ci krew — mówię. — Jak się nazywasz?

— Donna Watson.

— To nie ma nic wspólnego z Sheilą Sedric — zauważam. — Czy to jest prawdziwe?

Podnoszę rękę, a ona cofa się odruchowo.

— To jest prawdziwe — odpowiada.

— Gdzie jest Louise Walcott?

Brak odpowiedzi. Zmieniam rękę. Tym razem krew zaczyna płynąć. Dziewczyna próbuje sięgnąć po chusteczkę, żeby sobie wytrzeć kulfona.

— Zostaw to — mówię. — Później się umyje. Jeszcze nie skończyliśmy. Gdzie jest Louise Walcott?

— O pięć mil od miejsca, w którym mnie zatrzymaliście — odpowiada. — Po Weaver Road skręca się w lewo na Falls Road, a potem pierwszą w prawo, nie znam nazwy. To dom, którego dach widać z drogi, pośród wiązowego zagajnika.

— To pewne? — pytam.

— Przysięgam — odpowiada.

Mówi przez nos, bo krew nieco zatyka jej nozdrza.

— Wytrzymaj się teraz.

Rzucam jej papierowy obrus, który się wala, a ona próbuje naprawić szkody. Cały kostium jest umazany krwią.

— Co robisz u Louise Walcott?

— To i owo. Wszystko po trosze.

— Szczegóły — mówię — bo dostaniesz paskiem po udach.

— Nawiązuję kontakty. Dzisiaj byłam u Gayi Valenko, żeby odebrać paczkę, która miała być dostarczona przed piątą.

— Ile was jest u Louise?

— Od metra — odpowiada. — I dostaniemy was bando alfonsów.

— Już to mówiłaś — zauważam. — W jaki sposób Louise trzyma Gayę?

— Nie wiem.

Podnoszą ją jedną ręką, a drugą zdzieram z niej spódniczkę. W ogóle jestem dość silny, ale jak się wkurzę to idzie mi jeszcze lepiej. Ona nie śmie nawet drgnąć.

— Teraz już jesteś gotowa — mówię. — Ritchie, podaj mi pasek.

— Spadną mi galoty — powiada Ritchie.

— Nie szkodzi — odpieram. — Później będziesz mógł jej trochę dołożyć od siebie... to ją nauczy.

— Łajdaki! Mordercy! Ścier...

To miało być ścierwa, jak sądzę, lecz wszystko niknie w mej prawej dłoni. Dziewczyna

próbuję mnie ugryźć, lecz nie może dostatecznie otworzyć ust, by dziabnąć me drobne rączęta.

Odwracam ją pośladkami ku górze, a Ritchie zaczyna ją okładać.

— Nie wypada ci się skarżyć — rzucam. — Spuszczamy ci manto paskiem z krokodylowej skóry, istne cacko.

Ona skręca się jak dżdżownica. Na pośladkach pojawiają się czerwone pasy i osobiście uważam, że jest to niezwykle oryginalne.

— Ritchie, trochę bardziej w lewo. Tam jest jeszcze całkiem biały fragment.

Dziewczyna pieni się, lecz ponieważ ma twarz wepchniętą pomiędzy poduchy z tapczana, zbytnio tego nie słyhać. Po piętnastu ciosach Ritchie przestaje.

— Wystarczy — mówi. — Pojawiło się już stosowne rozszerzenie naczyń krwionośnych i nie należy dopuścić do miejscowego urazu.

Moim zdaniem to czysta chińszczyzna. Puszczam dziewczynę. Podnosi się, jest niewiarygodnie wściekła, oczy ma płonące, poci się i jest całkiem potargana. Kobieta w tym stanie jest milusia, zwłaszcza jeśli na sobie ma jedynie pończochy i dość krótki kasaczek od kostiumu. Szykuje się do rozdarcia twarzy, lecz ja podnoszę rękę. Drze się... niezbyt długo. Przewalam ją na tapczan, w tej samej pozycji co poprzednio, płasko na brzuchu.

— Trudno — mówię — sama tego chciała. Naprzód Ritchie. Jak Pan Bóg przykazał.

Ritchie waha się. A później wybucha śmiechem. Udaje się do kuchni, wraca z pustą butelką i kładzie ją delikatnie na jej pośladkach.

Teraz ja z kolei śmieję się tak strasznie, a ona wierzga tak bardzo, że w końcu mi się wrywa i nie mam czasu doprowadzić się do ładu, obsypuje mnie prawdziwym gradem ciosów pięści!... Odwraca się i widzi Ritchie'ego skręconego ze śmiechu. Wtedy zatrzymuje się i wyje jak dzieciak, zasłoniwszy sobie twarz ramieniem.

— Zostawcie mnie — mówi. — Jestem złą dziewczyną, wstrętną dziwką, ale nie kpijcie sobie ze mnie w ten sposób. Już więcej nie będę. Zmusili mnie.

Trochę mnie to drażni. O wiele wygodniej było kiedy się wściekała. Podnoszę się i ujmuję ją za ramię.

— Dobra — mówię. — Idź tam, umyj twarz, a później przyjemnie sobie pogawędzimy.

Idzie za mną, a ja zaprowadzam ją do łazienki. Zdejmuję jej zakiet, który jest pokryty krwią, obmywam jej twarz i czeszę. Dziewczynie jest zimno. Proszę Ritchie'ego o szlafrok, a on podaje mi kąpielowy peniuar, znaleziony w walizce. Nie mam pojęcia jak może być jej zimno przy takiej temperaturze, bo my dwaj po prostu zdychamy. To pewnie taka reakcja. W jej przypadku. W naszym to z powodu słońca, a co byście chcieli — jesteśmy normalni.

Prowadzę ją do drugiego pokoju, teraz już bardziej nadaje się do pokazania. Ritchie wraca do kuchni, by przygotować kolejne trzy drinki i tykamy je, ona dla rozgrzewki, a my dla ochłody. Oto sprzeczne wpływy alkoholu na organizm ludzki, rzekłby Ritchie.

— No więc, jak to się stało, że Louise udało się złapać Gayę? — pytam.

— To było na party — odpowiada. — Louise Wallcot ma brata w bandzie. On z kolei ma dwóch lub trzech kumpli. Wiecie, że jej brat nie jest zbyt...

— Zbyt męski — odpowiadam.

— No — mówi — lubi chłopców. A ona posługuje się nimi do nabierania dziewczyn, bo mają korzystny wygląd i znają kupę innych chłopaków w tutejszej socjocie, co stanowi dobrą wejściówkę do każdego miejsca. Więc pewnego dnia w kilku upili Gayę na śmierć. Urznąć dziewczynę, to nic trudnego, wystarczy jej powiedzieć, że nie wytrzyma, a ona natychmiast zechce udowodnić, że właśnie wytrzyma.

— Chłopaki też tak robią — mówię.

— Nie wiem — odpowiada — znam tylko kobiety. Tak więc tego dnia, kiedy Gaya była niezłe wstawiona, u jednego z przyjaciół Richarda, pochorowała się jak wieprzek, toteż byli dla niej bardzo mili, zaopiekowali się nią i pod pretekstem postawienia jej na nogi zrobili zastrzyk. Faktycznie, zrobiło jej się lepiej i zasmakowała w tym świństwie. Początkowo Louise chciała samej dziewczyny, ot tak, dla rozrywki, lecz kiedy dowiedziała się kim ona jest i że jej ojciec ma harmonię pieniędzy, wpadła na pomysł, żeby ją wydać za Richarda i bezpiecznie położyć łapę na szmalu.

— Z tej Louise to niezły kawał świni — mówię.

— Owszem — odpowiada dziewczyna — ale przysięgam ci, że jest niezła w te klocki.

— Och! — wołam — nie może ci zrobić niczego takiego, czego my byśmy nie byli w stanie wykonać, przy czym my mamy jeszcze inne możliwości.

— Wiem — odpowiada i spogląda na Ritchie'ego z miną pełną mieszanych uczuć.

— A co ta Louise uprawia jeszcze, prócz miłości? — pyta Ritchie. — Przypuszczam, że robi w narkotykach?

— Zajmuje się po trosze wszystkim — mówi Donna. — Nie opowiadała mi się. Jestem tylko podwładną. Wiem, że ma sporo kumpli w polityce. Również kumpelek. Żony senatorów, byłe dziwki, wariatki wszelkiego rodzaju.

— Świetnie — mówię. — Dobra z ciebie dziewczyna. A jaki miał być następny pomysł? Po Gayi?

— Nie wiem — odpowiada. — Poważnie. Ma tam jakieś robótki na warsztacie, ale ja nie znam szczegółów.

— Może jakieś historie z bombą atomową — podsuwam. — Stado takich lesbijek powinno wcale nieźle szpiegować? Trzeba z tego korzystać, jeśli się potrafi zachować zimną krew wobec mężczyzn.

Milczy.

— Dobra — podsumowuję — na razie zatrzymujemy cię. W końcu nie ma co się spieszyć. Zamelinujesz się u nas. Nie obawiaj się, nie dotkniemy cię. W gruncie rzeczy wolimy te prawdziwe.

Nie odpowiada ani słowem.

— Pójdę przygotować obiad — mówi.

— Świetny pomysł — stwierdza Ritchie.

Nie mamy potrzeby rozmawiać ze sobą, by wiedzieć, że dziś jest już za późno, żeby zaatakować coś nowego. Jutro się zobaczy.

Donna idzie do kuchni i tłucze się po garach złorzecząc, bo wszystko jest obrzydliwe. Ta myszka ma język jak szewc.

Nie wiem co tam kombinuje, ale ładnie pachnie. Po kwadransie, który wykorzystujemy z Ritchie'em na kręcenie młynków kciukami zgodnie z metodą Peruwiańczyków, pojawia się w drzwiach.

— Proszę — mówi. — Mamy spaghetti, jaja na szynce, które zeżrecie przy pomocy łyżki, bo nie znalazłam ani jednego widelca.

— Jakoś to będzie — mówi Ritchie. — Osobiście jestem tak głodny, że wystarczyłyby mi palce.

Zmiotam stół wierzchem dłoni, a ona przynosi patelnię z jajami na szynce, które rozkosznie pachną.

Zasiadamy. Poczyszne z nas trio. Ritchie i ja nadal w damskich ciuchach, a ona w kąpielowym szlafroku, przepasana czerwonym sznurem. Ma podpuchniętą twarz, tam gdzie ją zdzieliłem, i ostrożnie siada. Jest mi trochę wstyd, lecz gdybym tego nie zrobił, nadal stalibyśmy w punkcie wyjścia. Prawdę mówiąc jestem pewien, że zawsze brakowało jej ojca, który wlałby jej od czasu do czasu.

Gadamy sobie we trójkę, jak starzy przyjaciele i walimy drinki, które są najzdrowszym napitkiem, jaki można znaleźć w całej Ameryce.

I wreszcie nadchodzi chwila rzucenia się na wyro. Jeśli pamiętacie, w tej pakamerze są dwa tapczany. Lecz nie ma mowy, żebyśmy spuścili z oka naszą małą Donnę... nie szkodzi, że się bardzo lubimy, mogłaby jej wrócić ochota na pryśnięcie.

Zestawiam wyrka ze sobą i kładę materace w poprzek. W ten sposób powstaje jedno

wielkie łożo. Ritchie bierze pościel i zaczyna słać.

— Proszę — mówię. — Ty pośrodku, a my po bokach.

Dziewczyna protestuje.

— Och! Naprawdę lećcie sobie. Myślałam, że to już koniec z tymi waszymi historyjkami.

Osobiście pamiętam, że strzeliłem sobie przed chwilą sześć surowych jaj, myśląc, że będą mi potrzebne i wydaje mi się, iż takie surowe jajka są napchane witaminami i hormonami, przynajmniej sądząc wedle moich obecnych zamiarów.

— Nawet cię nie muśniemy — mówię. — Będziemy spali jak trzy siostrzyczki. Jutro na pewno wydarzy się wiele nowego, więc trzeba być w formie.

Nie puszcza pary z gęby, tylko idzie do łazienki, żeby się przygotować. My się rozbiemy. Mamy piżamy, z czerwonego jedwabiu dla Ritchie'ego, a z żółtego dla mnie, prawie śpiewają, takie są piękne. Nie wiem, czy mój brat ma te same upodobania co ja, lecz on również wkłada tylko górę. Bardzo lubię kontakt pościeli z gołymi nogami.

Wraca Donna. Rozpuściła włosy i wygląda na szesnaście lat. Na sobie ma szlafrok kąpielowy.

— Nie mam piżamy — mówi. — Nie mogę tak spać.

— Zdejmij szlafrok — odpijera Ritchie. — Będziemy cię grzać.

— Ale ja nie mam nic pod spodem — odpowiada.

— Dobra — mówię. — Zamykamy oczy. Przechodź.

Gasi światło i przemieszcza się nade mną. Kładzie się pomiędzy nami dwoma. Jest ciemno, wpada tylko trochę światła z podwórza, nie widać nic, prócz jasnego kwadratu pod oknem. Słyszę oddech Donny. Nie porusza się, lecz z pewnością nie śpi. Po dziesięciu minutach zaczyna protestować.

— Jest mi za gorąco — mówi.

Jednym kopnięciem zrzucamy z Ritchie'em kołdrę, co sprawia, że leżymy rozciągnięci obok siebie, bez czegokolwiek, co mogłoby nam przeszkadzać. Mija pięć minut, po czym dziewczyna zaczyna się delikatnie poruszać. Odwraca się w stronę Ritchie'ego. Zaczynam się oswajać z mrokiem i widzę niewyraźnie. Ritchie pozostaje nieruchomy.

W ten sposób wszyscy są zadowoleni. Nie ma sprawy... Powiecie mi, że przedstawiam wam te wszystkie detale z czystej złośliwości, bo w żadnym stopniu nie posuwają one na przód rozwoju akcji... Lecz są to po prostu kulisy tej pracy i dopiero teraz zaczynam rozumieć skąd bierze się tylu gliniarzy, prywatnych czy innych.

A poza tym szczegóły te ukazują lokalny koloryt...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wreszcie noc upływa przyjemnie i, kiedy słońcu udaje się wsunąć promień w szparę w murze i spuścić nam go na twarz, możemy powiedzieć, że spróbowaliśmy naprawdę wszystkiego. Jestem nieco poplątany z Donna, leżymy równolegle, lecz niekoniecznie w tym samym kierunku. Ritchie przysnął, dobrze mu to robi, lecz dziewczyna nadaje się do zeszkrobania żyletką. Ja zaś mam wrażenie, że młockarnia przy tym jest jak materac pneumatyczny wobec kamiennego łoża, lecz moja sławna energia pozwala mi na wstanie i szybkie ubranie się.

Idę poszukać czegoś do żarcia. Waszyngton o poranku nie jest niebezpieczny, są tylko czarnuchy obu płci robiące zakupy dla swoich państwa. Nie grozi mi spotkanie przyjaciół. Lecz rzecz by można, że grozi mi zgoła coś więcej...

— Daj to...

Biorę dziennik, który podaje mi gazeciarz.

Tytuł dużymi literami.

„Czy Francis D... zasztyletował Chińczyka?”

O cholera. Przyprawia mnie to o szok.

Dali tylko moje inicjały, to dowodzi, że tatuś cieszy się jeszcze szacunkiem w mieście.

Lecz trzeba coś zrobić.

Bystro wracam.

Wchodząc nie pukam, słowo daję. I zauważcie, że robię błąd, zważywszy, że mój braciak już się był obudził, a ponieważ nigdzie nie widzę Donny, przychodzi mi do głowy, że to ona jest pod spodem.

— Ritchie — mówię — wyłaź stamtąd i posłuchaj.

— Mnie to nie przeszkadza w słuchaniu — odpowiada.

Donna nic nie mówi. Robi tylko: Och... Och... Ach... i to wszystko.

Pokazuję tytuł Ritchie'emu. Donna nie może go zobaczyć, jest na pełnych obrotach.

— Nie widzę bez okularów — mówi mój braciak.

Podstawiam mu brukowca pod nos. Tym razem podskakuje.

— O cholera — stwierdza.

Próbuje się podnieść, lecz Donna go zahacza i pada ponownie.

— Och! Donna — mówi — pozwól mi się ubrać. Francis dokończy.

— O nie! — odpowiadam — jestem wykończony.

Na szczęście, w tym czasie Donna daje sobie spokój. Ritchie wrywa się i wskakuje w łachy.

— Umaluj się starannie — mówię — sprawa staje się poważna.

— Co robimy? — pyta.

— Muszę zniknąć.

— W jaki sposób?

Ostro główkuję.

— Masz tam jakieś wejście w kostnicy? Może znasz jakiegoś lekarza?

— No — odpowiada mój brat.

— Dobra...

Przypuszczam, że zrozumiał. Owszem.

— Bierzemy truposza — mówi — i przebieramy go za Francisa.

— Korzystając z „Kane juniora” — dodaję.

— Fajno, mój stary — mówi Ritchie — niezbyt to wszystko zabawne.

— Och! — odpowiadam — są pewne rekompensaty. Zdarza się na przykład, że na drodze znajduje się ładne dziewczyny.

— I może uważasz, że to relaks... — burczy Ritchie.

Donna przeciąga się. Oczy ma podkrążone, aż do kącików ust, jest rozczochrana, goła, rozciągnięta i dość przyjemnie się na nią patrzy. Ładna samiczka.

— Co robimy — pyta.

— Nie przejmuj się — mówię. — Sami we dwóch rozpieprzymy panią Walcott.

Szczerzy się.

— Czeka was kawał roboty — stwierdza.

— Nie przeraża nas to.

Siada.

— Francis — mówi — mam wrażenie, że nie całowaliśmy się co najmniej dwie godziny.

— O, do licha! — odpowiadam.

Całuję ją jednak.

— Nie wiem, którego wolę — stwierdza. — Nie macie takiego samego ciała, lecz lubię was obu...

— Nie wstyd ci? — pytam. — Lesbijka czystej krwi, sypiąca z chłopakami.

Śmieje się.

— Och! przypuszczam, że mnie nawróciliście.

— Ale są jeszcze inne sprawy — ciągnę. — Mamy robotę. Co zrobimy z tobą?

— Jak to? — mówi Donna. — Zatrzymacie mnie. Już się nie rozstaniemy.

— Chciałbym bardzo — odpieram — lecz trochę się zmieniło. Mam dla ciebie coś lepszego.

Chwytam za telefon. Właśnie sobie przypomniałem, że mam na mieście koleś, który nazywa się John Payne... Pamiętacie, tego, co ma oldsa 1910, na widok którego opluły się z wrażenia każdy antykwariusz. Ma kupę szmalu, fantazyjne pomysły i pies z niego na kobiety, że aż wstyd.

— Halo? Mogę mówić z Johnem Payne'em?

— To ja...

— Francis... Chcesz dostać prezent?

— Blondynka czy brunetka? — pyta.

— Oba te kolory — mówię. — Blond od góry.

Słyszę mlaśnięcie językiem.

— Przywieź.

— Przetrzywasz ją dla nas przez cztery, pięć dni?

— Nie dotykając jej?

Protestuje...

— Ależ skąd — odpowiadam. — Ty robisz wszystko, a ona się broni.

Słyszę wydzierającą się Donnę:

— Co to za numery?

— Poczekaj... — mówię do Johna.

Zakrywam słuchawkę ręką i informuję Donnę:

— Posłuchaj... Ritchie i ja do kupy to nic wobec Johna Payne a w pojedynkę. Poza tym jest piękny jak Bob Hope, a forsę ma tyle, że aż wstyd.

— Niech go szlag! — odpowiada. — Ja chcę was dwóch.

— Niech więc będzie trzech przez cztery dni — mówię. — To konieczność. Jeśli się nie zgodzisz, spuszczę ci lanie.

Przygląda mi się z dołu.

— Pasuje — odpowiada. — Na ogół dobrze się to kończy.

Śmieję się. Ona też.

— Dziewczyna się zgadza — mówię do telefonu. — Ale posłuchaj... Przyjedziesz za dziesięć minut. Pickford Place. Cegły i beton. Ty trąbisz, ona schodzi. Będę się przyglądał.

Odkłada słuchawkę. Też się zgadza.

— Donna, koteczku — mówię — nic straconego, jeszcze się zobaczymy.

Po czym całuję ją trochę na pociechę, a dziesięć minut szybko upływa. John przyjeżdża, trąbi, dziewczyna pędzi, ja za nią i widzę jak siada obok niego. Wracam do windy.

Uf! Teraz do roboty.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Najwyraźniej gliniarze — a Bóg wie, czy są takowi w Waszyngtonie, co to za pomysł, by wybrać podobne miasto na jakieś niekatolickie historie — gliniarze, powiadam, nie wiedzą, że po kwadransie jestem dziewczynką. Teraz trzeba z tego skorzystać. Co do Ritchie'ego, to wprost przeciwnie, jeśli chce zrobić swoje i delikatnie skubnąć faceta, to powinien raczej przebrać się za mężczyznę. Więc przede wszystkim musimy wrócić na starego „Kane juniora”, pilnującego naszych waliz w schowku...

Wyjaśniam to Ritchie'emu, który potakuje i wychodzimy. Buick stoi nadal i Chevrolet też. Bierzemy oba i parkuję chevroleta nieco dalej, po czym wsiadam razem z Ritchie'em.

W czasie jazdy zastanawiam się i dochodzę do wniosku, że coś mi się pałęta po mózgownicy, co z trudem udaje mi się sformułować. Korzystam z czerwonych świateł, by podać dziesiątkę sprzedawcy gazet i ponownie kupuję brukowca. Jeszcze raz czytam artykuł.

— Ritchie.

Patrzy na mnie.

— Nie ma ani jednego fragmentu w tym piśmidle, gdzie można by wyczytać, że Chińczyk zmarł.

Ritchie marszczy brwi.

— Wszędzie jest napisane „zasztyletowany” — powtarzam — lecz nigdzie nie precyzują, że został zabity.

— No i co z tego? — pyta Ritchie.

— Och, nic — odpowiadam.

Nie mogę dojść dlaczego mnie to frapuje i czemu sądzę, że ma to jakieś znaczenie.

— Trzeba by pójść zobaczyć do szpitala — mówię.

Bez wątpienia, ma to znaczenie tak czy inaczej, bo lepiej dla biednego Chińczyka, żeby to była tylko rana. I zresztą, zakładając, że mnie w to wrabiają i próbują mi wrzucić na garba, lepiej by było, żeby się z tego wylizał i mógł im powiedzieć, że to nie ja... Lecz mam wrażenie, że jest jakiś powód, dla którego gazeta nie jest dokładna. Tylko jaki?

— Tak — mówi Ritchie — można by pójść zobaczyć do szpitala, ale później, bo uprzednio należałoby spowodować twoje zniknięcie. Zwłaszcza jeśli nadal masz zamiar zamknąć sprawę z Louise Walcott?

— Mam nadal taki zamiar — odpowiadam — lecz nie wiem ni chu chu jak się za to wziąć, chyba że pójść i wszystkich wymordować.

— Można je wyprowadzić na prostą drogę, jedną po drugiej, tak jak zrobiliśmy z Donna — sugeruje Ritchie.

Śmieję się patrząc na niego.

— Jeśli jest ich z tuzin — to będzie niewąsko. Poza tym widziałem parę któregoś dnia i nie z wszystkimi byłoby to zabawne. Jest kilka tak wstrętnych jak trzydzieści sześć wszy. A jeśli chodzi o samą Louise Walcott, to ta metoda nie przejdzie, bo ona sobie na to nie pozwoli.

Ritchie trwa w zadumie.

— Nie wiadomo... — mówi.

— Nic nie kosztuje spróbować — stwierdzam. — Lecz wolałbym jakiś inny sposób.

— Jednak, pewnego dnia, trzeba będzie napuścić na nią policję... — mówi Ritchie.

— Owszem — odpowiadam — lecz na pewno nie w momencie, kiedy ganiają za mną.

— Oczywiście — stwierdza Ritchie. — No cóż, skoro nic do głowy nie przychodzi od razu, trzeba sprawę odłożyć na później.

Pewna myśl przeszywa mój umysł.

— A te dziesięć kawałków? — pytam. — Holender... nie można o tym zapominać.

— Też chyba trzeba będzie się mieć na baczności — dorzuca Ritchie — bo mamusia Walcott również będzie chciała położyć na tobie łapę.

— O la la — mówię — dzieci drogie, niezły pasztet...

— Nie przejmuj się — powiada Ritchie. — Najlepiej nie myśleć o niczym, tak jak ja.

Tymczasem jedziemy i wreszcie docieramy do Klubu. Wsiadamy, próbując jak najmniej rzucać się w oczy. Oczywiście nikt nas nie zna w takiej postaci, lecz nie trzeba, by jakiś nasz znajomy zadziwił się widząc, jak wchodzimy do boksu „Kane juniora”. Bo tych boksów wcale nie jest tak dużo...

Wreszcie wślizgujemy się i docieramy bez kłopotów.

Siadam na krześle. Ritchie przebiera się za mężczyznę. Zabiera mu to dwadzieścia minut.

— Jako panienka ma się luźniejsze nogi — zauważa. — W lecie to nawet przyjemne.

— Wystarczy się przebrać raz jeszcze — mówię. — Żaden problem.

Śmieje się.

— Wygodne jest dlatego — mówi — bo dziewczyny się nie boją. Mam wrażenie, że takie Louise Walcott nie mają żadnych problemów, by je sobie nałapać.

— Tak to już jest — zauważam. — Swój lgnie do swego, znana rzecz.

Teraz Ritchie jest gotów.

— Muszę działać sam — mówi.

— Nie zrobisz chyba tego w biały dzień? Ukraść trupa z kostnicy...

Chodzą mi teraz ciarki po grzbiecie, kiedy pomyślę o tym naprawdę.

— Jesteś kompletnie wypompowany — mówi Ritchie. — Wyobrażasz sobie, że pójde do kostnicy miejskiej? Mam kumpla w prywatnej klinice, który dobrze da sobie radę, by mnie z tego wyciągnąć. Zażąda zwłok do przeszczepu gałki ocznej, czy czegoś w tym rodzaju, a jeśli będzie jakaś poruta, powie, że mu je skradziono. Bierzesz mnie za osła, czy jak?

— Do licha — mówię — całe szczęście, że cię w to wpakowałem. Sam byłbym już w tym siedział po uszy.

— Ale i tak będę potrzebował dwóch godzin — mówi Ritchie. — Zaczekasz na mnie. Posiedzisz na słońku i łykniesz kielicha, to najlepsze, co możesz zrobić. A później, za półtorej godziny, wsiądziesz do „Kane juniora” i popłyniesz w górę kanału, to znaczy aż do Brookmont... za Basenem Taylora.

Wiem co ma na myśli, jest tam centrum studiów nad budową kadłubów na podstawie modeli w okolicy bulwaru Mac Arthura, gdzie diabeł mówi dobranoc.

— Zatrzymasz się pomiędzy Carderock a Cropley — ciągnie Ritchie — jest tam miejsce, gdzie kanał płynie tuż przy drodze.

— Jasne — mówię — jest tam knajpka.

— Owszem — odpowiada — lecz zatrzymaj się i zaczekaj na mnie.

— To jest dobre dwadzieścia pięć mil — mówię.

— W godzinę i kwadrans zrobisz je z palcem w nosie — stwierdza Ritchie. — I to bez napinania się.

— Dobra — mówię. — A jeśli ktoś będzie?

— Jeśli ktoś będzie, niczego to nie zmienia.

— Wracamy jutro? — pytam.

— Posłuchaj — mówi Ritchie — to poważna sprawa, ta historia, tak czy nie?

Przypominam sobie w tej chwili, że to ja zadzwoniłem do Chińczyka, co jeszcze bardziej mnie studzi.

— Wszystko ci powiem — ciągnie Ritchie. — Jest kolejny kumpel, mający garaż dla łodzi na kanale, mniej więcej na tej wysokości. Ty zaczekasz, a ja przyjadę statkiem z towarem i tam zajmiemy się tym co trzeba. Zdajesz sobie sprawę, że nie możemy działać w biały dzień, chcąc go... no... zniekształcić.

Drapie się w podbródek.

— Poza tym, trzeba go będzie ubrać... i puścić mu krew.

— Jak to, puścić mu krew? — pytam.

Nic już nie rozumiem.

— Kiedy jest się nieboszczykiem — mówi Ritchie — to się już nie krwawi. Więc, żeby dobrze zakamuflować nieboszczyka, za pomocą strzału z obrzyna w twarz, poleje się go jednocześnie krwią... Musimy pracować jak artyści.

— Uf... — stękam. — To i lepiej, że ty to zrobisz, nie ja.

— Och! — mówi Ritchie — tyle tego widzimy na co dzień... A zaraz... podaj mi swoje ciuchy.

— Które?

— Męskie. Mówię, że trzeba go będzie ubrać.

— A niech to! — mówię. — Mój granatowy garnitur!...

— Nie mamy wyboru — stwierdza Ritchie. — Wsadź swoje rzeczy do kieszeni. I podaj mi zegarek i sygnet.

— Och!...

W tym punkcie się wydzieram.

— Dawaj, dawaj — mówi Ritchie. — Pospiesz się.

Wrzuca wszystko do marynarskiej płóciennej torby, którą wyjmuje z kufra „Kane juniora” i spada.

— Tym sposobem nie mam już prawa jazdy. I jak ja teraz wyglądam?

— Po prostu nie będziesz prowadził — mówi. — Cześć, na razie.

— No — stwierdzam — jak na faceta, który nie myśli o niczym... dasz mi to na piśmie, na kolorowej pocztówce...

— I będziesz mógł ją sobie zawiesić nad łóżkiem — mówi Ritchie.

Wychodzi.

Co ja będę robił przez półtorej godziny?

Mój Boże, chętnie bym się walnął spać... W „Kane juniorze”... Na ławeczkach leżą tam miękkie poduszki Dunlopillo. Gdybym je zabrał do środka, byłoby mi nieźle.

Nasza dzisiejsza nocna corrida z Donną Watson trochę zwała mnie z nóg. Lecz jeśli zasnę, to nie mogę zapomnieć o godzinie.

E tam? Przecież nie będę spał półtorej godziny.

Śmiało... do dzieła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Budzę się gwałtownie. Skąd wziął się ten hałas? Stwierdzam, że jak ostatni krety nie zamknąłem się w boksie.

Staram się nie wykonać najmniejszego ruchu i nasłuchuję.

Jest dość jasno z powodu świecącego na zewnątrz słońca. Otwieram ostrożnie oczy, powolutku.

Z tego miejsca, gdzie się znajduję nic nie widać. Przypominam sobie, że hałas pochodzi od drzwi, wydają one dwutonowy szczepek, jeden dźwięk wysoki, drugi niższy.

Dobra, tak czy inaczej trzeba zobaczyć. Wstaję bez zachowania środków ostrożności... Przypominam sobie, że jestem w damskim stroju dokładnie w momencie, kiedy chcę wciągnąć spodnie na właściwe miejsce i zeskakuję na beton. Zapalam światło.

W boksie jest jakiś facet. Wydieram się na niego.

— Co pan tu robi?

Patrzy na mnie i się śmieje.

— Nie ma co się bać, dziecinko — mówi.

— Wychodź pan stąd — odpieram. — Natychmiast.

— O — mówi — taka jestem zła?

Zbliża się ku mnie. Jest wysoki i niezle zbudowany. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat, włosy czarne, wąskie usta. Ma garnitur z pasiastego drelichu. To niczego nie dowodzi, wszyscy takie noszą tego lata. Jasny kapelusz. Nic się nie da powiedzieć o tym facecie.

— Zostań pan tam, gdzie stoisz — mówię.

— No, moja mała — odpowiada — nie wyglupiaj się i chodź ze mną. Musimy odbyć razem miłą rozmówkę.

— Stój pan — mówię.

Zatrzymuje się.

— Co chce pan wiedzieć? — pytam. — Bierze mnie pan za agencję informacyjną?

— Co robiłaś w buicku wczoraj, przed domem Gayi Valenko?

— Upił się pan? — pytam.

Przesuwam się trochę, by zająć dogodniejszą pozycję. Nie wygląda, by to dostrzegł.

— Było was dwoje — mówi. — Jakiś facet wyszedł stąd z godzinę temu. Po co pojechaliście do Valenko?

— Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

Po czym robię zwód prawą i trafiam go lewą. Dostaje jak się należy, lecz nie pada. Trochę mnie to zaskakuje.

— Do licha — mówi.

A potem walimy się na ostro. Blokuję niezle wyprowadzony cios, ten łajdak poprawił z drugiej i dostaje w ucho, jak żeliwnym przyciskiem do papierów. Lecz ten, który on przyjmuje na nos, także nie jest z pierza. W tym samym czasie przewracam się i podstawiam mu nogę. Teraz siedzę na nim i w dziwny sposób wykręcam mu nogę, wygląda jakby mu się to nie podobało. Ten świntuch jest silny jak niedźwiedź, a mnie spódnica przeszkadza w walce. Udaje mu się odwrócić i wysyła mnie bym się naźarł betonu, na szczęście amortyzuję przedramieniem i teraz on zabawia się moją nogą. Ja również potrafię się wydostać z tego chwytu. Na Boga, jak to boli. W czasie całej tej bójkii nie mówimy ani słowa, żeby nie przyciągnąć uwagi ludzi z Klubu i to bardzo niemiłe, że nie mogę ochrzaniać tego bydlaka. Nie jest on w dobrej pozycji dla swego chwytu; korzystam z wysiłku jaki robi, by ją poprawić i zapuszczam mu rączkę za obrożę. Teraz musi pracować jednocześnie nad moją ręką i nogą, co sprawia mu więcej kłopotu.. Tego się nie spodziewał, to mój własny wymysł, trzeba mieć tylko do tego

elastyczny krzyż. Gdybym miał kamerę, zrobiłbym wam teraz zbliżenie, gdyż udało mi się przewrócić na bok i mam jego udo przed szczęką... między szczękami... i gryzę. Tym razem gość wydaje subtelne burknięcie i puszcza wszystko. Wstaję, dość tej wolnej amerykanki, łapię go za ramię i frunie... niech to, wygląda, że też zna judo i to ja przejeżdżam się po jego nogach... bęc... ależ ten beton może zadać ból w plecy. Wobec tego powracamy do boksu, dajemy sobie po razie i padamy obaj; ja krwawię z nosa, a on ma spuchnięte oko, siedzimy na ziemi, patrzymy się na siebie i zaczynamy rechotać. To całkowicie rozbraja.

— Gównno... — mówi. — Naprawdę brałem cię za dziewczynę.

— A ja ciebie za mięczaka — odpowiadam — ale się oszukałem, rzecz by można.

Tamten wstaje.

— Dobra — mówi — wystarczy... Nic z tego nie wyniknie. Jestem Jack Carr — prywatny gliniarz — zatrudniony przez Salomona Valenko do pilnowania jego córki — i chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wczoraj po południu polowaliście na Donnę Watson.

W gruncie rzeczy ten chłopak nie jest niesympatyczny. Wstaję.

— To wszystko prawda? — pytam.

Podaje mi swój portfel, jest tam licencja i wszystko co trzeba. Jest nawet byłym gliniarzem.

— Po co mi wciskasz kit — mówię. — Nie ma takiego prywatnego gliniarza, który tak znałby wolną amerykankę i judo. Jesteś facetem z F.B.I., albo nie nazywam się już Francis Deacon.

Do licha. To się nazywa... palnąć głupstwo. Trudno, wysypało się.

— Francis Deacon? — mówi. — Miło mi poznać.

— Załóżmy, że nic nie powiedziałem — odpieram. — Tutaj robię za Dianę. A za dziesięć minut muszą stąd odejść. Więc niech pan się pośpieszy z tym aresztowaniem.

Śmieje się.

— Wszystko jest jasne — mówi. — Tak więc od razu sygnalizuję, że...

Dobra. To cię nauczy wkładać rękę do kieszeni. Dostaje w podbródek cios, który na pewno nie wyleciał sroce spod ogona. Tym razem ma dosyć. Zbieram go do kupy i układam w kącie, po czym śpieszę, by odpalić „Kane juniora” i zerwać się; zabiera mi to maksimum pięć minut, mam jeszcze czas się przypudrować.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Płynę z prędkością mniej więcej dwadzieścia mil na godzinę i niezły hałas niesie się po wodzie. Żeby odnaleźć wejście do kanału muszę płynąć pod prąd, gdyż znajduje się ono na wysokości wyspy Teodora Roosevelta, zaś na kanale trzeba uważać na barki, bo ci kretyni rozstawiają się na całej długości, naciągnięci na różnego rodzaju wycieczki, do czego to podobne, pytam się.

Zastanawiam się nad moją marną sytuacją. Oto policja federalna depcze mi po piętach, zresztą jest to normalne, gdyż chodzi o aferę związaną z narkotykami, lecz, na Boga, oby tylko nie znaleźli powiązań z tym żółtkiem... naprawdę, krucho ze mną.

Jest i wejście do kanału. Cała na lewą burtę! „Kane junior” pędzi jak prawdziwy konik morski, a motor warczy, że można by sądzić, iż podstawiono mu pod nos całą miskę kremu Chantilly.

Mam na sobie żółtą kurtkę braciaka z impregnowanego płótna i bardzo jestem w niej milusi.

Ależ to daleko. Mam wrażenie, że się wcale nie poruszam. Rzec by można, że goście, którzy wybudowali ten kanał zadali sobie niezłego trudu, by był możliwie jak najdłuższy.

Mijam różne różności. Teraz jestem na wysokości Klubu Żeglarskiego. Jeszcze przyspieszam, żeby mnie nie rozpoznano. Lecz z tą przekłętą łodzią nie mam zbyt wielu szans, by przepłynąć niepostrzeżenie.

Zasuwam już od godziny rozmyślając o całej kupie rzeczy, będąc na wpół uśpiony. Orientuję się mniej więcej według prywatnych przystani, które ciągną się miejscami po obu stronach kanału.

Już dawno minąłem Little Falls, a dziesięć minut temu Calvin John Creek. Jednak się zbliżam.

Dobry Boże, jak mi się chce spać. Patrzę przed siebie z przyzwyczajenia, lecz prawdę mówiąc, nie zdaję sobie sprawy z niczego.

Od czasu do czasu widzę różne łodzie. I roślinność okalającą kanał. W dali przede mną, po prawej, drzewko, którego gałęzie prawie się moczą... Nie... to złudzenie, stoi w oddaleniu od toru holowania. Przyglądam mu się przepływając. I bang! Wpadam na maleńką łódkę.

Niech to wszyscy diabli! A raczej do stu tysięcy par beczek zjełczałych rolmopsów, bo

jestem na statku.

Najwyraźniej „Kane juniorowi” nic się nie stało... widział już gorsze rzeczy. Zwalniam. Nikt nic nie zauważył, jakimś cudem kanał w tym miejscu tworzy zakole... to prawdopodobnie dlatego wpadłem na inną łódź.

Poszła na dno jak kamień... wracam na miejsce zbrodni. Coś tam się pluska, nawet wiem co, zahaczam i wciągam wszystko na łódź. I to szybko.

To myszka. Dla odmiany. Nie, nie stroję sobie z was żartów... niech mnie ukrzyżują, jeśli cała ta historia nie jest najprawdziwszą prawdą.

Ledwie zdążyłem ją ukryć pod kawałkiem płótna i zebrać poduszki z jej łodzi, które zaczęły pływać, kanałem przyplływa cała seria łodzi motorowych.

Znowu się wywinąłem. Pełno na nich studentów, wykrzykujących różne pochlebstwa pod moim adresem. Macham do nich i przyspieszam. Naprzód. „Kane”... trochę szybciej...

Woda tryska po obu stronach dziobnicy, a szum silnika zmienia się w piękne burczenie.

Spoglądam na zegarek. Za dziesięć minut mogę się znaleźć na miejscu spotkania, co zostawi mi jeszcze dwadzieścia na zajęcie się dziewczyną, którą wrzuciłem do wody.

Mam już na łbie tyle kłopotów, że nie wzruszyło mnie to ani ciut ciut... jeśli nie liczyć tego, że się nieco rozbudziłem.

Jedną ręką odkrywam twarz mojej ofiary... bo jak miałbym ją inaczej nazwać?

Lecz, rzecz by można, że nie zanadto oddycha.

Nachylam się, nie puszczając kierownicy i nieco nią potrząsam. Naprzód... obudź się bździągwo.

Lekkie westchnienie. To wolę...

I pewne objawy choroby morskiej... śmiało... chwytam ją i wystawiam głowę za burtę. Niech woda z kanału powróci do kanału... to logiczne i rozsądne. Pęd powietrza wszystko rozbryzguje.

Dobra. Teraz już lepiej. Otwiera oczy, patrzy na mnie i zaczyna łkać. To najbardziej krępujące.

— Moja, moja łódź... — szlocha. — Co się stało?

Z powodu silnika musi krzyczeć.

Można zaryzykować.

— Nie wiem — krzyczę ze swej strony — lecz było widać, że się nieźle ochławił.

— To ty mnie wyciągnęłaś? — pyta.

Minę ma zdziwioną. Niech to gęś. Przypominam sobie, że jestem przebrany za dziewczynę... a moje słownictwo, o kurde.

— Z trudem, wiesz — mówię. — Na imię mi Diana, a tobie? Sądzę, że silnik musiał eksplodować.

Jest pewne, że ni w ząb nie zna się na mechanice, ani jedna myszka nic z tego nie kuma, myli im się wdech z wydechem, a świece biorą za oświetlenie awaryjne.

— Och! — krzyczy. — Więc nie mam już łodzi?

Na moje potwierdzenie lka natychmiast. Milusia jest ta panienka.

— Ja mam jedną, której nie używam — wydzieram się do niej. — Dam ci ją w prezencie.

— Dlaczego? — pyta. — Przecież mnie nie znasz.

— Nie szkodzi — odpowiadam tym samym tonem. — Wydajesz mi się sympatyczna.

I w tym nie kłamię. Jest blondynką o krótkich włosach i niebieskich oczach, ma lekko zadarty nos i pięknie zarysowane usta... wspaniałe zęby, a poza tym jest zmoczona... ubranie ją oblepia... tylko tyle wam powiem. Dodajmy trochę gazu.

— Och! — woła — jesteś kochana. Muszę cię ucałować. Na imię mi Sally.

Obejmuje mnie. Bardzo słodki całus. I bardzo mokry.

— Tylko się nie przezięb — mówię jej do ucha. — Zdejmij sweat-shirt i załóż moją kurtkę.

Ani cienia wahania, zważywszy, że nie krępijemy się między dziewczynami. O, do licha. Ma drobne piersi... prawdziwy smakołyk. I powiedzieć, że daję jej własną kurtkę, by ukryła te milusie skarby. „Kane junior” wykonuje gwałtowny skręt. Rzecz by można, że się całkiem rozbudziłem. A poza tym to fajnie, tak sobie mówić do ucha.

— Zawiozę cię do Cock's Inn — mówię. — Tam wyschniesz, a potem cię odprowadzę.

— To świetnie — odpowiada. — Bo ja wcale nie mieszkam w tamtych okolicach. Dokąd jedziesz Diano?

— Mam spotkanie w Cock's Inn — odpowiadam. — Lecz dopiero za pół godziny, a jestem przed czasem.

Tak jest zresztą naprawdę. Zatrzymuję silnik i pozwalam łodzi dryfować. Dwa słupy piany z przodu powoli opadają, a łódź ponownie kładzie się poziomo. Kieruję ją w stronę prywatnego pomostu przy oberży. Ta nagła cisza jest ogłuszająca. W głowie czuje się wielką pustkę.

Stawiam stopę na pomoście i przywiązuję „Kane'a” do pachołka. Są tu już dwa lub trzy małe ślizgacze.

Pomagam Sally wysiąść. Chwieje się na nogach.

— Ależ ty jesteś silna — mówi.

— To ty jesteś taka mała — odpowiadam.

Galopujemy do oberży, gdzie proszę o pokój i mnóstwo ręczników.

Zauważcie pewną rzecz. Gdybym był mężczyzną, nie dostałbym tego pokoju nigdy. Albo przynajmniej musiałbym posmarować. A tak, najmniejszych problemów.

— Moja przyjaciółka wpadła do wody. Zostanie tutaj, aż wypocznie po tych emocjach. Proszę przynieść na górę dwa bardzo wytrawne martini.

— Oczywiście — odpowiada recepcjonista.

To mała knajpka z czerwonej cegły i drewna, z krzakami róży, stolikami na tarasie nad brzegiem kanału, jednopiętrowa. Meble w stylu rustykalnym, jak to mawiają. Wszystko bardzo proste: tapeta w kwiatki i dzikie wiśnie. Jednak na podłodze w sypialniach — chodniki. Prostota, bardzo proszę, ale bez przesady. Dostaliśmy pokój z widokiem na kanał. Mam przed sobą kwadrans.

— Rozbieraj się szybko — mówię. — Natrę cię. Lub raczej nie! Najpierw prysznic.

Ciągnę ją do łazienki i solidnie masuję rękawicą z trawy morskiej, pod strumieniem wody. Jakie to jędrne, złociste, naprawdę bardzo, bardzo milusie.

Szybko, szybko, prowadzę ją do sypialni.

Okręcam w szlafrok i suszę raz dwa.

Och! do diabła. Zaraz zobaczymy... niech to, ktoś puka. A! to martini. Biorę je i zamynam.

Pijemy bez popitki. Wzbudza to kaszel i śmiechy.

Zaraz zobaczymy, czy one wszystkie są takie... Chwytam ją i przewracam na łóżko. A tam zabieram się do całowania tego wszystkiego, co ma najlepsze. Jest tego kilka miejsc.

No i proszę! otrzymuję kilka niezłych pucek!...

We łbie mi dzwoni.

— Chyba oszalałaś! — woła.

— Bardzo przepraszam...

— Jestem pożałowania godna, naprawdę pożałowania godna. Och... i do licha. Nareszcie mam jedną... prawdziwą.

— To kretynstwo — mówię. — Wcale nie nazywam się Diana. Jestem chłopakiem.

— Nie wierzę ci — odpowiada.

To już szczyt.

Zadzieram pulower i pokazuję jej mój sztuczny biust.

— Tylko popatrz — mówię.

I ciągnę jak gumę do żucia.

Przygląda się.

— No i co z tego? — mówi. — Przecież tylko dlatego, że jesteś chłopcem... o ile to prawda... nie masz prawa mnie całować.

— Nie mogłem się oprzeć — odpieram.

Okręca się w szlafrok.

— Jesteś świntuch — mówi. — Dlaczego przebierasz się za kobietę? I dlaczego wzięłeś łódź Richarda Deacona? On nigdy by czegoś takiego nie zrobił... Zastanawiam się, czy nie powinnam kazać cię aresztować.

Coś podobnego, jeśli nigdy nie widzieliście osłupiałego faceta, to popatrzcie teraz na mnie. I jak zwykle, puszczam farbę.

— Znasz mojego bra...

Gryzę się w język. W porę? hmm...

— Jesteś jego bratem?

Szybko załapuje ta mała.

— Nie całkiem — odpowiadam.

— Francis Deacon? Ten, którego poszukują?...

— Nie — mówię. — Nie wierz w to.

Wpatruje się we mnie wnikliwie.

— Ależ tak — odpiera. — To ty. Widziałam cię raz z daleka w Klubie Żeglarskim. Więc to prawda? Zabiłeś Chińczyka?

I nagle upuszcza swój szlafrok. Podnosi ręce do piersi, uśmiecha się i oto wyciąga ku mnie ramiona.

— Francis... najdroższy... — mówi. — Szybko, szybko...

O k...!

Naturalnie nie daję się prosić... ale, coś podobnego!...

Przysięgam wam i zapewniam, że one nie mają pojęcia!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kwadrans, to nie za wiele, by wyszczególnić rozliczne wdzięki tej uroczej Sally, więc mam czas jedynie, by jej zaprezentować tylko próbkę tego, co potrafię. Bez najmniejszej wątpliwości ma niezłe warunki i nadaje się do dalszej hodowli. Skórę ma delikatną i umie całować, co do reszty, to widać, że brak jej praktyki, lecz chętnie się wszystkiemu poddaje... zresztą niewiele czynię... dopiero zbieram informacje. Jednak, mimo zmęczenia, po dziesięciu minutach zdążyłem się zdenerwować, lecz ona przewraca mnie na plecy i wślizguje się na mnie.

— Mój morderco... — szepcze. — Mój morderco kochany... zadaj mi ból... ugryź mnie...

— Och! do psa starego — odpieram. — Nikogo nie zabiłem.

Chyba walę ze zbyt grubej rury... wpada mi do głowy, że może przez to prysnąć czar, lecz siadam, przekładam ją przez kolano i spuszcza jej niezłe manto. Trzepocze się jak węgorz, udaje jej się wyrwać i ponownie przewrócić mnie na plecy i znów na mnie wskakuje. Spoglądam na zegarek. Najwyżej trzy minuty.

Miota się, urocza radocha. Ta dzieciina jest pełna zapału.

— Uduś mnie... — woła. — Zadaj mi ból.

Na dłuższą metę wywiera to na mnie efekt wprost przeciwny do zamierzonego... Opuuszczam pole walki, co ona dostrzega i robi dziwną minę.

— Nie podobam ci się? — pyta.

— Gdybyś się zamknęła — odpowiadam — to może by do czegoś doszło, lecz te twoje popaprane przynudzanki wcale mnie nie inspirują.

— Och!... — odpiera... — Francis... zabij mnie... Jestem zbyt nieszczęśliwa... Zabij mnie tak, jak zabiłeś tego Chińczyka.

Odsuwam ją od siebie i wstaję.

— Widzę, że potrzebny ci jest prawdziwy twardziel, kawał sukinsyna, żeby ci wlał i jeszcze na dokładkę uczył jakąś solidną chorobą. Wtedy dopiero byłoby fajnie.

W tym czasie ponownie się ubieram... w damskie ciuchy, oczywiście. Mam już pięć minut spóźnienia i mam nadzieję, że Ritchie nie będzie się niepokoił znalazłszy „Kane Juniora” i nikogo w środku.

— Francis — dziewczyna szepcze nieśmiało.

Idę do okna i spoglądam na kanał. Podpływa jakaś łódź i zatrzymuje się. To prawdopodobnie Ritchie. Muszę spadać.

— Zostań tu — mówię do Sally — i zaczekaj aż wrócę. Wtedy wszystko sobie wyja-

śnimy.

— Wrócisz? — pyta.

Milusia jest ta idiotka. Podchodzę do łóżka i całuję ją w oba policzki, jak brat. Ma mordkę dziewczynki, która zrobiła głupstwo i nie chce płakać, lecz by się ukarać sama idzie do kąta.

— Żabciu — mówię — naprawdę mi się spieszy, a w ten sposób nic dobrego zrobić nie można. Zaczekaj tu grzecznie, a ja za godzinę wrócę.

— Naprawdę? — pyta.

— Słowo — odpowiadam.

I spadam.

Po wyjściu na taras galopuję aż do pomostu. To Ritchie. Zatrzymał się przy „Kane Juniorze” i lekko zdziwiony przygląda się poduszkom.

Wskakuję do środka, odczepiam linkę i w pięć sekund opowiadam mu o wszystkim, w tym także o facecie w boksie i o laniu, jakie sobie zafundowaliśmy.

Ritchie'emu to wszystko się nie podoba.

— Nic już nie rozumiem — wyznaje. — Ale mam truposza, jest przebrany i ucharakteryzowany, mam także w rezerwie pół litra krwi, żeby pokropić łódź.

Och! od tych wszystkich historii żołądek wędruje mi do gardła.

— Ritchie — mówię — niezły zawód sobie wybrałeś.

Protestuje gwałtownie.

— Powiedz no, kto się wpięprzył w tę paskudną historię? — pyta. — Ty czy ja?

W czasie dyskusji płyniemy burta w burtę w stronę domu jego kumpla. Jest to mniej więcej o milę drogi, warsztat naprawczy dla łodzi znajduje się nad samą wodą i można do niego wprowadzić „Kane Juniora” prawie w całości. W ten sposób nikt wiele nie zobaczy.

Przywiązuję „Kane'a” do pierścienia i wyskakuję na beton. Patrząc, w garażu jest oszkło-
ne okno, a buick Ritchie'ego stoi na zewnątrz.

— Ty go... hm... przywiozłeś w tym? — pytam.

— Owszem — odpowiada Ritchie. — Jeszcze tam jest. Weź go i przynieś.

Idę. To nieodpowiednia chwila, żeby pękać. Jest to wielki wór ze sztywnego płótna, coś jak wojskowa torba na ubranie.

Ciężki bydlak. Udaje mi się zawlec go aż do łodzi.

— Zdejmij wór — mówi Ritchie.

— Chętnie — odpieram — ale wolałbym nie patrzeć.

— Masz fart — mówi Ritchie. — Jest trochę do ciebie podobny i młody.

— Na co umarł? — pytam.

— Wylew krwi do mózgu — odpowiada Ritchie. — Ale z pestką, jaką zapakujemy mu do łba, nikt się nie domyśli.

Przełykam z trudem ślinę.

— Hm... — mówię. — Zrobisz to, co, Ritchie?

Patrzę na niego jak się szczerzy. Wyciągam gościa z wora. Odwracam głowę, po czym w porę uciekam, przebiegam przez drzwi i wymiotuję oparty o ścianę garażu.

Wracam na drżących nogach.

— To zasańcy, jak mogli coś takiego zrobić staremu Wu Changowi — mówię.

Dodaje mi to odwagi. Trzeba jednak wyrolować tę bandę świń.

Wyciągam olbrzyma z kufra łodzi i ładuję go.

— Podaj mi to — mówi Ritchie.

— Dobra — mówię — już mi przeszło. Jestem gotów.

Pokazuje mi kierunek.

— Strzelaj tam... — mówi. — W tę stronę. Zaczekaj!

Bierze kawałek brezentu, walający się po kufrze i przykrywa twarz faceta. Sadza go na siedzeniu łodzi.

— Dobrze by było, żeby nas nie opryskało — mówi. — Teraz wal. Przez to.

Podaje mi stary szalik. Pojmuję i owijam nim spluwę, żeby zagłuszyć hałas. Wsadzam, tak jak mi kazał, lufę między zęby nieboszczyka. Naciskam.

Słysząc stłumiony huk i odskakuje mi ramię. Ritchie zdejmuję swój kawałek materiału. Ja nie patrzę.

— Spal szalik — mówi. — Przy pomocy benzyny.

Zajmuję się tym w jakimś kącie i słyszę gulgul opróżniającej się flaszki. Pewnie Ritchie wygładza mu makijaż.

— Teraz — mówi — weź notes i napisz, że masz tego dość i, że wolisz skończyć w taki sposób.

Wykonuję posłusznie. Wszystko robię machinalnie. Szalik wreszcie się zapala kopącym płomieniem, wydzielając przy tym smród palącej się wełny, prawie nieznośny.

Skończywszy pisać mówię do Ritchie'ego:

— Co pomyślą rodzice?

Studzi go to znacznie.

— Nic nie szkodzi — mówi — już za dwa dni będzie po wszystkim.

— Optymista z ciebie — stwierdzam.

Potrząsa mną i podaje piersiówkę.

— Posłuchaj Francis. Jesteś cykor. Łyknij i weź się w kupę. Bo w końcu nawet mnie zdemoralizujesz. To jak, wisi ci co stanie się z Gayą? I z całą tą resztą narkomanów, znajdujących się w podobnej sytuacji, co ona? Zniesmaczasz mnie. Przyznaję, że narobiliśmy bzdur, ale co chcesz, przecież nie można przez cały czas kręcić młynków, kiedy te łajdaki robią bezkarnie swoje świństwa. Ja myślę, że tamten wujek leży w łodzi i, że im dłużej tu pozostajemy, tym mniej jest to zdrowe.

— Naprzód — mówię. — Spójrz za siebie i jeśli jest czysto, wyciągamy „Kane juniora” i puszczamy go z prądem.

Tak też czynimy. Wsiadamy do drugiej łodzi, ciągniemy „Kane'a” na środek kanału, pozostawiając na przedzie opuszczoną plandekę ... tak jest lepiej. Później puszczamy wszystko i szybko wracamy. Cumujemy łódź na miejscu, zamykamy drzwi garażu i zmykamy. Buick stoi nadal.

— Wiesz dokąd jedziemy? — pytam Ritchie'ego.

— Do Louise? — pyta.

— Do Louise — odpowiadam. — Trzeba zbadać co tam biega.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Prawdę mówiąc, kompletnie zapomniałem o Sally, i prawdopodobnie tak jest lepiej, bo mam teraz co innego do roboty. Pędzimy możliwie jak najszybciej, jednak nie tak szybko, by dać się złapać gliniarzom, bo to byłoby niezdrowe. Zawsze ci gliniarze. Nigdy tyle o nich nie myślałem, co od chwili, kiedy sam zabawiam się w gliniarza.

Buick sunie pośród natury.

Przypominam sobie piersiówkę z whisky, którą Ritchie podał mi przed chwilą i proszę

go o nią.

— Och... Ritchie... daj się napić.

— Źle robisz — odpiera.

I podaje mi butelkę.

— Nie — odpowiadam.

Pociągam solidny łyk.

— Muszę sobie podbudować morale — dorzucam. — Nie czuję się zbyt dobrze, a poza tym nie mam najmniejszego pomysłu, w jaki sposób będziemy tam działać.

— Zobacz się — mówi Ritchie.

— Wiesz co nam powiedziała Donna — przypominam mu. — Jeśli Louise Walcott nas capnie, to ciachnie nam wszystko.

— Wisi mi to — odpiera Ritchie. — Na mnie połamię sobie wszystkie brzytwy.

— No, no — odpowiadam — to ładnie się chwalić, ale chyba jednak trochę przesadzasz.

— Wała — mówi Ritchie.

— Chuchnij w moją stronę.

Chucha, a ja spostrzegam, że ten łajdak sam cuchnie whisky na cały regulator. Chyba naprawdę musiałem mieć cykora, że nie zauważyłem tego przed chwilą.

— Nachlałeś się — mówię.

— Ależ skąd — odpowiada Ritchie. — Spójrz. Jadę całkiem prosto.

Patrzę na drogę, akurat mamy solidny zakręt.

— Może nie tutaj — mówię. — Zaczekaj Ritchie, aż będzie trochę dalej.

Przyspiesza.

— Jak na filmach gangsterskich — mówi. — Posłuchaj opon.

Słychać bzzzzuii... Jeśli wiecie co mam na myśli.

— A twoje gumy są chociaż w dobrym stanie? — pytam.

— Nie wiem, nigdy się nimi nie zajmuję.

— Skręć w prawo.

Właśnie wjechaliśmy na Potomac Road i tam właśnie polecimy. Prosto aż do Falls Road, prosto — to tylko tak się mówi — bo do Falls droga wznosi się i wykręca.

— Teraz możesz przycisnąć — mówię. — Nie będzie więcej przedstawicieli prawa.

Jedziemy i jedziemy. Jest jakieś dziesięć mil do zrobienia. W tym tempie to kwestia kwadransa.

Nawet nie. Dwanaście minut. Już tędy przejeżdżaliśmy... to mi przypomina pewną dzie-

wczynę na skraju drogi...

Dokładnie w tej chwili myślę o małej Sally.

— Ritchie — mówię. — Znasz Sally, z Klubu? Mała siedemnastka?

— Owszem — odpiera. — Na tyle wygląda.

— Znasz ją dobrze? — pytam.

— Och! — odpowiada — przeleciałem ją, tak jak i kumple.

— Ach! — mówię nieco ostudzony — wszyscy jej używają?

— Niekoniecznie — mówi Ritchie. — Ma swoich wybrańców.

— To tak się tylko mówi — odpieram. — Myślisz, że długo będzie czekała? Powiedziałem jej, że wrócę za godzinę.

— Och! Pośpi sobie — odpowiada Ritchie. — Już jest późno.

Faktem jest, że z tego wszystkiego zrobiło się już wpół do piątej, ale w lipcu trudno powiedzieć, że to późna pora.

— Ritchie, nie pojedziemy tam natychmiast. Najpierw trzeba odpocząć — proponuję.

— Jesteś głab — mówi Ritchie. — Pękasz.

— O matko!

Czuję się jak biedny, mały maminsynek.

— Więc przyciskaj, świnió — podsumowuję.

Już jest Falls Road i zamiast nią pojechać skręcamy w lewo.

A Ritchie przyciska, ale niezbyt długo, bo ktoś mógłby powiedzieć, że naprawdę coś podjeżdża. Przystaje na skraju drogi. Trzysta metrów przed nami stoi wielki, biały budynek, którego dach widać poprzez drzewa. Niewątpliwie wiązy.

Ritchie patrzy i mówi:

— Nie da rady nic zrobić. Za widno.

— Pękasz — stwierdzam.

— Akurat — odpowiada. — Odpocznijmy i ruszamy. Dobrze nam to zrobi.

— Tam do licha! — mówię — mogłeś mnie ostrzec. Poszedłbym do Sally.

— To byłby błąd... — mówi Ritchie przyglądając mi się.

— Dlaczego? — pytam.

— Masz ochotę się leczyć? — mówi.

— Niech to szlag! Panienska, której dałoby się komunię bez spowiedzi.

Te myszki są niesłychane. Naprawdę, one nie mają pojęcia.

— Do licha - mówię do Ritchie'ego. — Uciekłem jej spod topora.

— Zawsze byłeś farciarzem — stwierdza. — Ostrzegam cię również, że wcale nie ma

siedemnastu lat. Tylko dwadzieścia osiem. Chodź się zdrzemnąć.

Jestem zdruzgotany.

Ruszamy dalej. Przejeżdżamy obok domu, nie ma mowy o pomyłce, to jedyny w okolicy. Potem skręcamy w pierwszą drogę i ustawiamy buicka tak, by był gotów do wyruszenia we właściwym kierunku.

Rozkładamy się na plecach z ramionami skrzyżowanymi na karku.

Rośnie tam pełno drzew, a wieś jest piękna. Przyglądam się temu przez jakiś czas i nagle widzę faceta, który wychodzi nie wiadomo skąd. Ma śliwkę pod okiem, jest wysoki i napakowany. Rozpoznaję jego twarz. Jest nieco zapuchnięta. Gość ma garnitur z pasiastego brezentu.

— No, Francis — mówi. — Wrócimy na chwilę do zagadnienia... Należy mi się rewanż.

To mój G man. Patrzę na Ritchie'ego. Ani drgnie. Widzę, że drugi facet trzyma go na muszce prawdziwego, profesjonalnego zrównywacza, przyrządu, który ma kaliber przynajmniej pięć centymetrów.

Nic się nie da zrobić.

— Życzysz sobie demonstracji? — pytam.

Po czym robię zwód. Łapię go za ramię i facet frunie. Już drugi raz robię mu tego psikusa.

Tymczasem on posyła mi niezłego klapsa... Cóż... Trzeba przecierpieć. Wyrrywam się. Są na to różne sposoby, na przykład dobrze umiejscowione atemi, którym można się zemścić.

Nie wyprowadzam ciosów z całej siły, on również nie... Nie jesteśmy dzikusami.

Zabawiamy się tak przez pięć minut i obaj jesteśmy niezłe spoceni.

— Gdybym nie miał tej kretyńskiej spódnicy — mówię — poszłoby to znacznie szybciej.

Tamten zatrzymuje się.

— Wystarczy — stwierdza. — A tak poza tym, czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś potrójnie złamanym ch...?

Stoję z rozdziawioną gębą. Tamten z tego korzysta i wali mnie w podbródek. Zwalam się, a on podnosi mnie z miłością.

— Byłem ci to winien, kochasiu — mówi. — Nie gniewam się wcale, ale byłem ci to winien. Prawdę mówiąc, powiadam ci to od razu... Chińczyk nie umarł.

Mówię z trudem, lecz pozwala mi to na użycie bardziej kwiecistego słownictwa.

— Wy, blacharze — mówię — jesteście bandą fałszywych patafianów. Ta wasza mania

okładania lolami porządnych gości tak, że im śmiech kołkiem w gardle staje; jak na was patrzę, przewraca mi się w wątpiach.

— A tak przy okazji — pyta Ritchie — czy moglibyście nam powiedzieć, cóż takiego uczyniliśmy?

— To było między nami dwoma — odpowiada gliniarz.

Zbieram się w sobie — trochę symulowałem — teraz moja kolej. Prosto w żołądek. Zgina się wpół i dostaje w klipę kolanem.

— Jak na targu — powiadam. — Trzeba wyjść na swoje tak, czy inaczej.

Drugi gliniarz zaczyna rechotać.

Cóż, ci dwaj są niezli. Pierwszy się podnosi. Czuje się marnie.

— Opuuszczam — mówi. — Wystarczy, Francis, jesteśmy kumplami.

Wyciera sobie łeb, należy mu się to, bo mam twarde kolana. I zaczynamy rozmawiać jak starzy kumple.

— Jak to się stało, że jesteście tutaj? — pytam.

— A wy? — odpowiada.

— Posłuchaj — mówię — przypuszczam, że jesteś federalny?

Przytakuje.

— Dobra — stwierdzam. — I nazywasz się Jack Carr?

Masuje sobie flaczory.

— Jack Carruthers — odpowiada.

Do licha, znam to nazwisko.

— Holender — mówię. — W takim razie, to jakaś grubsza afera.

Wygląda na mile polechtanego. Teraz ostrożnie maca sobie nos.

— Jest pełno gliniarzy dookoła domu — odpiera. — Wasza obecność została zasygnalizowana przez walkie-talkie.

— Nie aresztujesz mnie? — pytam.

Uśmiecha się.

— Zmartwiłoby to twojego ojca... chociaż tobie zrobiłoby dobrze... powtarzam raz jeszcze, że nic ci nie grozi... Chińczyk przemówił.

— A gazety? — pytam.

— Bałach — odpowiada. — Pułapka na niejaką Walcott.

Patrzę na Ritchie'ego.

— Widzisz — stwierdzam — mówiłem ci.

— Zbierajcie się, odwiedzimy Louise. Już jesteśmy na miejscu.

— Jak to? — pytam.

— Gaz łzawiący.

Udaje się w kierunku drogi.

— Chodź — mówi do Ritchie'ego.

— Pocę się od tego — odpowiada Ritchie. — Ja nie znam tej laluni. Idę się zdrzemnąć. Mam zaległości.

Wsiada do buicka, zanim ktokolwiek wykonał najmniejszy gest, by mu w tym przeszkodzić i przykleja się do kierownicy.

Wygląda, jakby mu to szło z trudem.

I nagle silnik warczy, a samochód rusza z kopyta.

Bang! Bang!... Bang!...

To Carruthers i drugi gliniarz strzelają do bryki, lecz ta skręciła już za rogiem. Patrzą na Carruthersa dławiącego się z wściekłości i nagle dostają puckę w łeb.

Przed odfrunięciem mam jeszcze dość czasu, by stwierdzić, że był to cios rękojęścią i że pistonówki prawdziwych gliniarzy nie są jednak aż tak ciężkie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Znajduję się — o ile można to nazwać znalezieniem się, bo mam wrażenie, że brakuje mi paru kawałków — w pustym pomieszczeniu, o opuszczonych żaluzjach. Jest jeszcze widno i dość światła przechodzi, by oświetlić miejsce, którego ściany są białe i nagie.

Przeżuwam przez pięć minut jęzor grubości gąbki i w kąciku ust udaje mi się znaleźć nieco śliny.

Dodaję, dla jasności wypowiedzi, że ręce mam spętane za plecami i stąd bierze się uczucie brakujących kawałków. Poruszam palcami najlepiej jak tylko mogę, by spróbować przywrócić krążenie i usiłuję się podnieść. Leżę rozciągnięty pod ścianą z nosem w kącie, co nie jest zbyt wygodne.

Rzec by można, że nie jestem sam. Są jeszcze dwaj inni lokatorzy. Kobieta z głową

opuszczoną na piersi, oparta plecami o mur tak jak ja, po lewej stronie, a obok niej jakiś wydłużony kształt.

Widzę coraz lepiej.

— Kim jesteś? — pytam cichym głosem.

— Donna Watson... biedna Donna Watson... — odpowiada ona.

— Donna... to ja, Francis.

Zaczyna się śmiać cichym, zdławionym śmiechem, strasznym, że aż ciarki mi chodzą po plecach.

— A tam... — ciągnie — to John... niejaki John Payne... facet, którego nazywano Johnem Payne'em...

Mam stracha. Ona potrafi wywołać wrażenie.

— Donna... mówię — uspokój się... Co jest? Jakoś się z tego wyłizemy...

— Tak jak John — odpowiada. — Jak chłopak, który nazywał się John Payne, dopóki Louise Walcott nie pochlastała go brzytwą.

Nagle udaje mi się stanąć zapałszy się o ścianę.

— Donna — mówię — na litość boską, zamknij się i przestań gadać bzdury.

Głowa jej opada i milczy. Stoję całkiem pokrecony, srogo mnie sprali.

Podskakuję aż do Johna — o ile to on. Leży obok Donny z rękami związanymi z tyłu, tak jak moje i jej, twarz ma białą. Ubrany jest na jasno. Spodnie ma powalane krwią. Olbrzymia plama, monstualna. Krew wypłynęła dookoła niego. Po prostu w niej pływa.

— Nie żyje — mówi Donna. — Wył przez dwadzieścia minut i umarł. Zmasakrowała go brzytwą...

— Dość, Donna — mówię.

Czuję w tym momencie do tej Louise Walcott ślełą nienawiść, ochotę do rozdarcia jej na strzępy.

— Donna — mówię — musimy stąd wyjść.

Śmieje się cicho i ponuro.

— Ty, Francis — stwierdza — też pójdziesz pod brzytwę. Dla mnie będzie rozpalone żelazo. Żelazna nakrętka, rozpalona nad lampą lutowniczą... Wsadzi mi ją tam...

— Donna — mówię — wyjdziemy stąd.

Patrzę na więzy na mych nogach. Są grube, lecz jakoś to będzie.

— Potocz się pod okno — mówię.

Nie rozumie.

— Przesuń się pod okno tocząc się — powtarzam.

Wykonuje.

— Żeby zagłuszyć odgłos szyby, którą stłukę — wyjaśniam jej. — Spadające kawałki nie mogą narobić hałasu.

Zbliżam się do niej pod okno i próbuję cicho podskoczyć.

Napieram na szybę. Żaluzja na zewnątrz jest opuszczona, jak wam już mówiłem... to fart.

Naciskam powoli na szkło. Oby tylko nikt nie usłyszał hałasu.

Chrup... pęka. Spory kawał spada na Donnę, a czubek wbija jej się w plecy. Cała podskakuje, lecz nic nie mówi.

Udało mi się. Jest kawałek, który został na krawędzi dziury, jaką zrobiłem.

— Odsuń się teraz — mówię. — Po cichu.

Wykonuje posłusznie. Zajmuję jej miejsce i udaje mi się umieścić po jednym bucie z obu stron pozostałego kawałka szyby.

Mam ściśnięte kostki i szyba musi przejść pomiędzy nimi, kiedy przetnie pierwszy węzeł. Ostrożnie podnoszę i opuszczam nogi.

Dobra. Jeden z węzłów puścił. Inne ani drgną. Sporo ich. Trzeba je będzie przeciąć jeden po drugim.

Kiedy przesuwam kostki, czuję jak kawałek mięsa zostaje na szybie, lecz zaciskam zęby; idzie, pękają czwarty i piąty.

Moje nogi są wolne. Kilka przysiadów.

Tylko żeby się nie zdrzemnąć. Lecz co to? Ktoś idzie korytarzem.

Dwa, trzy szybkie skłony.

— Połóż się. Donna — mówię bardzo szybko. — Nie ruszaj się. Udawaj martwą.

Siadam koło niej w kucki. Drzwi otwierają się. Wchodzi jakaś kobieta. Obserwuję ją spod przymrużonych powiek. Znam ten pysk.

Louise Walcott.

Jest sama. Zamyka drzwi.

Ma coś błyszczącego w dłoni. Brzytwa. Ubrana jest w czarną, mocno wydekoltowaną suknię bez zarzutu. Ładniejsza i bardziej łajdacka niż kiedykolwiek.

— No proszę — mówi... — Było nam za gorąco? Więc stłukliśmy szybę... A może po to, żeby wzywać pomocy?

Śmieje się.

— Tobie, Donna Watson, zaraz będzie cieplej — mówi.

Zbliża się do Johna Payne'a.

— Nie żyje? — pyta. — To zabawne, że faceci nie mogą żyć bez tego.

Ależ ona ma głos, ta megiera! Podchodzi do mnie.

— Tobie także się troszeczkę dostanie, mój koteczku — mówi. — Dobrze ci to zrobi. Połóż się. To będzie taka mała przystawka.

Nie poruszam się. Podchodzi jeszcze bliżej. W porządku. Przygląda się swojej brzytwie...

— Nie jest zbyt dobrze naostrzona — mówi — Była już używana na Johnie.

— Dlaczego chcesz się cieszyć widowiskiem w samotności? — pytam. — Czyżby w domu nie było chętnych?

Cofa się o krok.

— Coś podobnego! Odzyskałeś mowę — stwierdza. — W końcu skoro masz stracić co innego, lecz nie od razu. Tym razem przyszedłem jedynie po to, by narobić ci smaku. Chodź. Zobacz.

Łapie mnie za kołnierz i ciągnie aż do Johna.

— Przyjrzyj się! — mówi.

Dobry Boże!

Teraz jestem w dogodniejszej pozycji, na to czekałem. Nie wiem, czyście słyszeli kiedy, przy okazji wolnej amerykanki o triku, który się nazywa cios nożycami.

Wyskakuję, zaś moje nogi wyrzucone w powietrze zamykają się wokół talii Louise Walcott.

Mam ochotę krzyknąć z radości, gdyż słyszę suchy stukot o podłogę. Upuściła brzytwę. Robię straszny wysiłek i przewracam ją na ziemię, używając do tego całej mocy moich ud. Jej głowa wali o ścianę. Zaciskam, zaciskam ze wszystkich sił. Słyszę, jak trzeszczy jej ostatnie żebro. Natężam się, o mało nie zemdleję. Ona nie może krzyknąć. Nic już nie może zrobić. Wydaje niewyraźne mruknięcie i mięknie.

Za moimi plecami coś się rusza. To Donna podpełzła aż do mnie. Odwróciwszy głowę widzę ją jak gryzie ziemię.

— Nie ruszaj się, Francis — mówi.

Pojmuję, że udało jej się podnieść brzytwę zębami.

Nadal ściskam Louise. Czuję jak niezręczne ostrze brzytwy przecina mój nadgarstek.

— Nieco wyżej, Donna.

Tnie jeden z węzłów. Robię straszny wysiłek i wszystko pęka. Mam wolne rękę. A przeguby bardzo mnie bolą.

Poruszam palcami. Są martwe. Naprzód. Wysilam się. Podnoszę rękę do góry, żeby

odpłynęła z nich krew.

Zaczyna krążyć. Lecz przypominam sobie, że należy zmylić towarzystwo. Ryczę.

— Ach!... Louise... dziwko... Na pomoc... tylko nie to... Aaaa...

Donna wskakuje na brzytwę, która wypadła jej z ust. Skaleczyła się podnosząc ją, krwawi, przecinam jej więzy, masuję i całuję z dubeltówki.

— Donna! — wołam. — Fajna z ciebie dziewczyna. Jesteś najdroższa, bardzo cię lubię.

— Och! Francis — mówi — biedny John... Zabij ją, zabij tego śmiecia.

— Nie mogę — odpowiadam — policja na pewno będzie chciała wydusić z niej wiele rzeczy. Lecz możesz na nich liczyć w temacie zadania bobu.

Znowu zaczynam się nieco wydzierać dla pucu, a Donna się śmieje.

Po czym szybko i po cichu dyskutujemy.

— Chcę jej ździebko dołożyć — mówię. — Ale bez zabijania.

Łapię ciało Louise i rozciągam na ziemi. Później w trzech ruchach łamię jej oba przeguby. Nie podaję szczegółów, bo to nic interesującego, lecz bardzo to krzepiące. Budzi się nagle, lecz Donna zatyka jej usta. Daję jej solidnie pięścią w ucho i odlatuje do krainy snów.

— Złam jej nogę, Francis — mówi Donna. — Nogę też.

— Jeszcze się ocknie na dobre — odpieram — a poza tym nie mam w sobie nic z rzeźnika. Zbyt jest dla mnie odrażająca. A tak nie może się bronić.

Przeszukuję ją. Pod pachą ma automatyczny rewolwer, jak prawdziwy mały gangster. To dlatego nosi zawsze tak wydekoltowane suknie... żeby móc go szybko wyciągnąć.

Donna sugeruje mi jeszcze, bym zrobił tamtej całe mnóstwo różnych historii.

— Posłuchaj, skarbie — mówię — kangurowi mógłbym to zrobić, ale tej babie — to już wolałbym się powiesić. Nie zasługuje na to. Biedny John!

Na wspomnienie o Johnie Donna zaczyna płakać, po czym dalej się śmieje, bo kontynuujemy naszą komedię.

Jestem uzbrojony, wolny... i w tym pokoju. Jedyne wyjście, przez okno.

— Co jest w ogrodzie? — pytam. — Damy radę?

— Nie mamy zbyt wielu szans — odpowiada Donna. — Jesteśmy na pewno na drugim. To piętro cel. W ogrodzie jest tylko drewniana komórka, która sfajczyłaby się jak nic, gdyby chcieli nas wykurzyć. Nigdzie nie damy rady.

Idę do okna i podnoszę żaluzję. Fakt. Opuszczam ją.

— Za wysoko — mówię. — Trzeba wyjść drzwiami.

— Naprzód — odpowiada.

Jest bardzo blada i dodaje:

— Jak zejdziemy na dół, będziemy ugotowani.

— Kto tu stale przebywa?

— Jest ogrodnik, potężny, rudy prostak, Mac Coy, niezbyt niebezpieczny. A poza tym dziewczyny. Zostały prawdopodobnie trzy czy cztery, a inne są na mieście. Z pewnością jest Viola Bell, szefowa, prawdziwe monstrum. Byłyśmy kumpelkami... — dodaje Donna.

Drży.

— Kiedy pomyślę, że byłam po ich stronie!

— Znam ogrodnika — mówię. — Przykro na niego patrzeć.

— To jedyny mężczyzna tutaj — odpiera Donna.

— A Richard Walcott?

— Rzadko przychodzi. Siedzi w Waszyngtonie z kumplami. Poza Violą, Beryl i Jane są tu z pewnością. Morderczynie. I Rossie Lance, kucharka.

— Również ma spluwę, jak sądzę?

— Owszem — odpowiada Donna. — Wszystkie miałyśmy. Ćwiczyłyśmy w piwnicy.

Nie bardzo ma chęć ciągnąć dalej.

— Na facetach? — pytam.

— Tak — odpowiada. — Na facetach. Martwych.

— Na tych, którymi Louise osobiście się zaopiekowała?

— Tak.

— Dobrze — mówię. — Trudno. Schodzimy.

— Cicho — szepcze Donna.

Na schodach słysząc kroki.

— To Viola... — mówi Donna. — Rozpoznaję jej chód.

Kroki przesuwiają się i zbliżają do drzwi. Rozbrzmiewa głos:

— Louise...

Brak odpowiedzi, wiadomo dlaczego.

— Louise Walcott.

Klamka porusza się. Szybko odpycham Donnę do tyłu i podchodzę.

Najwyraźniej Viola waha się. Trzyma za klamkę i nie może zdecydować się na wejście.

Jedyna rzecz do zrobienia. Cicho chwytam za tę niezdecydowaną klamkę i silnie pociągam do siebie. Viola traci równowagę i przewraca się. Jej rewolwer splunął.

Raz, nie dwa. Drugi strzał jest pięścią w łeb. Z całych sił. Powaliłby byka.

Najwyraźniej Viola nie jest aż tak solidnej budowy. Obszukuję ją. Ta dla odmiany nie nosi majtek. Jeden rewolwer na tyłku, drugi za stanikiem. Do głowy przychodzi mi pewien

pomysł. Rozbieram ją całkiem.

— Zrób to samo Louise — mówię do Donny. — Ciężko im będzie tak łązić.

Nie ma na co patrzeć. Viola jest kiepsko zbudowana. Chuda, bez piersi, chłopięce biodra.

Porusza się. Łapię ją za kark i daję jej w pysk, aż dudni jak bęben. I na Boga, sprawia mi to przyjemność. Tamta zapomina o wszystkim.

Znajduję jeszcze przy niej mały sztylet, przyczepiony do prawej łydki dwoma rzemykami, oraz pęk kluczy.

— Co za arsenał... — mówię.

Sprężamy się, bo bez wątpienia inni zaraz przylezą. Nadstawiam ucha i nagle uderza mnie pewna myśl.

— A Jack? — pytam Donnę. — Kto to?

Opisuję fałszywego Carruthersa.

Donna zastanawia się.

— Pojmuję, co chcesz powiedzieć, lecz nie wiem, jak on się nazywa — odpowiada.

— To on mnie złapał — wyjaśniam. — Toteż chciałbym dostać go gdzieś w kącie. Był z nim jeszcze drugi mężczyzna. Mały brunet z olbrzymim rewolwerem. Szczupły, z ustami jak od ciosu szablą.

Śmieje się.

— To nie mężczyzna — mówi. — To Rossie, kucharka,

— Dobra — to tylko jedna więcej... więc schodzimy... Weź to.

Podaję spluwę Donnie, tak że ona ma jedną, a ja dwie.

— Prowadź — mówię.

— Można by poczekać aż nadejdą — odpowiada Donna. — Załatwilibyśmy ich wszystkich, jednego po drugim.

— Uważam, że lepiej zaatakować — odpieram. — A niechby tak podłożyli ogień i odeszli.

Mam zaćmiony umysł wizją tego ognia.

— Och! Naprzód — mówi Donna.

Przyciska się do mnie.

— Nie zostawisz mnie, jeśli coś się wydarzy?

— Donna, a co by się miało przydarzyć?

Całuję ją delikatnie i wychodzę pierwszy.

— W lewo — mówi. — Schody.

Przemieszczam się bezgłośnie. Donna zebrała ciuchy Louise i Violi Bell oraz zamknęła na klucz drzwi od pomieszczenia, w którym obie leżą rozciągnięte.

Jestem na schodach. Zaczynam posuwać się w dół. Nic się nie dzieje.

Zastanawiam się, gdzie jest Ritchie.

Oto podest pierwszego piętra. Posuwam się wzdłuż ściany i rzucam okiem.

Tak jak na drugim jest czworo czy pięcioro drzwi wychodzących na korytarz.

Donna jest tuż przy mnie.

— W prawo — mówi. — Pierwszy pokój. Tam powinny być.

Zanim mam czas cokolwiek zrobić, wyprzedza mnie i wchodzi.

Słyszę dwa strzały i czyjś jęk. A potem jakiś ruch na parterze, więc wchodzę i docieram do Donny. Klęczy na ziemi, przed drzwiami. A w pomieszczeniu jest kobieta.

No cóż... była kobieta.

Donna ma rację, nauczono je strzelać.

Była to młoda, ładna blondynka, lecz o dzikim spojrzeniu. Siedzi na fotelu za stołem. Ma na sobie białą szmizjerkę. Czerwona plama rozplywa się na lewej piersi.

Podnoszę Donnę.

— Co ci jest?...

— Uwaga — szepcze. — Ktoś wchodzi.

Odwracam się i puszczam ją. Słyszę, jak kuśtyka aż do stołu. Podnoszę pistonówki.

Strzelam pierwszy. I jest to pierwszy strzał w moim życiu, jaki oddaję do dziewczyny. Mam nadzieję, że ostatni. Spluwa wypada jej z łap i wydaje okrzyk, gdyż jej kciuk poleciał razem z nią. Daję jej w zęby i przysięgam wam, że nawet nie próbuję jej łapać, kiedy pada.

— Łapy do góry!...

Niech to. Ktoś był za nią. Ten niby Carruthers. Nie rozumiem, dlaczego nie strzelił.

Rzucam narzędzia. Nic się nie da zrobić. Lecz nagle kula świszcze mi za uchem, a twarz faceta po prostu rozpryskuje się przede mną. Krew strzyka na mnie, więc się cofam, gotów zwymiotować.

— Dzięki, Donna — mówię, nie odwracając się.

Zbieram spluwy i idę do drzwi. Mam wrażenie, że zrobiliśmy czystkę. Zamykam drzwi i próbuję zająć się Donną.

— Jesteś poważnie ranna? — pytam.

Leży zwinięta w kłębek i oddycha z trudem. Kładę ją na stole.

— W płuco — odpowiada.

— To drobiazg — mówię — z tego się wychodzi. Nie ruszaj się i oddychaj powoli.

— Nie warto, Francis — odpiera. — Po co! Zapakuj mi drugą kulę. Tak czy inaczej, mam dość na sumieniu, żeby mi przyłożyli ze trzydzieści lat do odsiadki.

— Mowy nie ma — mówię. — Jak sądzisz, dlaczego nie strzelił do mnie?

— Nie wiem — szepcze.

Podkładał jej pod głowę ciuchy Violi, których nie wypuściła z ręki.

— Myślę, że właśnie pokapowałem — mówię. — To dlatego, że jestem wart trochę forsy. Rozumiesz, gość sądził, że mój tata jest senatorem. Z pewnością chciał mnie porwać.

Dziewczyna uśmiecha się słabo.

— Nic z tego, Francis — mówi.

— Szczerze mówiąc, to ma on tyle szmału, co pięciu czy sześciu senatorów do kupy — ciągnę. — A z tobą też się jakoś ułoży. Tylko się nie przejmuj.

W czasie gdy Donna odpoczywa, przeszukuję kieszenie faceta. Oto portfel, który mi pokazywał. Są w nim papiery. Lecz w wewnętrznej kieszeni są jeszcze inne.

No proszę. Pan ów w rzeczywistości nazywa się Sam Driscoll — co jest całkiem bez znaczenia. Faktycznie jest prywatnym detektywem z Nowego Jorku. I nie mniej faktycznie został zatrudniony przez ojca Gai Valenko do pilnowania jego córki. Trzy miesiące temu.

No cóż, miał dziwny sposób pilnowania... Przychodzi mi do głowy, że ten ptaszek chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i nadał sprawę Louise Walcott.

Co nie wyszło mu na zdrowie, jak sądzę. Nie będzie wsadzał nosa w cudze sprawy przez jakiś kawałek czasu...

Chowam kwity do kieszeni i wracam do Donny. Nie wygląda zbyt dobrze. Dotykam dłonią jej czoła. Ma gorączkę.

A jednak odnoszę wrażenie, że o czymś zapomniałem.

Zastanawiam się usilnie. No tak. Gdzie jest ogrodnik, ten wstrętny, półtonowy rudzielc?

— Donna — mówię — nie odpowiadaj, lecz słuchaj. Chcąc powiedzieć tak, mrugnij powiekami, w przeciwnym razie, nie ruszaj się. Czy były tu jeszcze inne dziewczyny?

Mruga, że tak.

— Ta to Beryl?

Brak odpowiedzi.

— Jane?

Tak? Dobrze. Beryl hasa pośród przyrody. Albo po korytarzu. Czeka, żeby mnie napaćkować ołowiem.

— Były jeszcze inne?

Tak.

- Lecz ty ich nie znasz?

Odpowiada cichutko.

— Tamte tu nie mieszkały. Tu była kwatera główna Louise. Inne chodziły po rozkazy do baru.

— Nic nie mów — odpieram. — Zrozumiałem.

Lecz na Boga, co robi Ritchie?

W tym momencie słyszę podjeżdżającą brykę. Biegnę do okna. Samochód wjeżdża i zakręca przed domem. Przygotowuję się do wyskoczenia na zewnątrz.

— Francis...

Donna na wpół się unosi.

— Francis... uważaj...

Dostaje czkawki i podnosi rękę do piersi.

— To... to samochód Louise... to Jane... uważaj...

Dobry Boże... muszę wyrzecć... Na końcu korytarza jest okno wychodzące na ogród. Biegnę.

Cholera. Już wysiedli i weszli. Błyskawicznie przebiegam przez strefę schodów i chowam się. Obserwuję, starając się być niedostrzegalnym.

Ktoś wchodzi. Mam teraz ochotę mordować. A oto pojawia się mój braciak Ritchie. Twarz ma pokrytą krwią. Za nim rudzielec i krótkowłosa dziewczyna o prostackiej gębie, w czarnych spodniach i swetrze. Trzyma sztylet i dźga w plecy Ritchie'ego, żeby się posuwał naprzód. A on ma związane ręce.

Na szczęście dla mnie nie podnoszą oczu. Lecz jeśli strzelę, mogę zranić Ritchie'ego.

Cofam się, wchodzę do pokoju i bezgłośnie zamykam drzwi. Z pewnością zamkną go gdzieś na górze.

Przez drzwi słyszę jak niucha dziewczyna ubrana na czarno.

— Dziwnie tu pachnie — szepcze. — Ktoś tu strzelał.

— Zaprowadź go na górę, Dan — mówi. — Ja zajrzę do biura.

A w biurze jestem ja. Cofam się.

Rusza klamką, lecz drzwi nie otwierają się.

— Louise!

— Beryl!...

Brak odpowiedzi. Słyszę, jak mruczy pod nosem.

Po czym cisza. Na górze kroki. Odgłos upadku.

Nagle galopada na schodach.

— Dan!...

To powrócił ten kolos. Słyszę, jak szybko dyskutują.

— Wyważ drzwi...

Przygotowuję się. Tamten nabiera rozpędu... czuję to... przyklejam się do ściany.

Drzwi rozsypują się w kawałki, a ten bydlak przewraca się na środek pokoju.

Strzelam z obydwu rąk do tej, co stała za nim. Ma dosyć. Nawet nie stęknęła. Czarna kupa na ziemi.

Rudzielec wstaje. Nic nie kuma.

— Nie ruszaj się! — wołam.

Idzie ku mnie.

— Stój! — wyję.

No tak. Jestem ugotowany. Tamten widzi, że nie mógł bym strzelić. Nerwy mnie zawiodą. Tamten się śmieje.

— Strzelaj — mówi...

Biorę się w garść. Rzucam spluwy na stół, gdzie nieruchomo leży Donna.

— Wykończę cię własnoręcznie — mówię.

Bo nie mogę zabić ot tak, po prostu, z zimną krwią... nie mam już na to ochoty. To zbyt wstrętne...

Uchylam się przed pięścią wielkości trzykilowego bochenka i walę go w wątrobę. Boże! Ręka zapada mi się na dwadzieścia centymetrów i mam wrażenie jakbym palnął w pierzynę. Szybko stawiam gardę.

Ma przerażająco długie ramiona. Muszę go złapać za pomocą jakiegoś chwytu judo lub z wolnej amerykanki. Bez tego, kiszka.

Tańczę wokół niego, szykując się do chwytu. Ten cios muszę przyjąć...

Jest w dobrej pozycji. Rzucam się, robię zwód i naruszam jego równowagę. Przewracamy się ze strasznym hałasem.

Dzwoni telefon...

Wielkolud leży na ziemi na prawym boku, a mnie udało się wyrwać. Przystawiam mu stopę do szyi i łapię za lewą rękę. Wyskakuję w powietrze i spadając wykręcam mu ramię.

Dobra. Złamane. Sporo już dziś nałamałem!

Tamten odpuszcza sobie.

Wstaję i ocieram twarz. Jestem jak we śnie. Telefon dzwoni nadal. Podnoszę słuchawkę.

— Halo... Tu Richard...

— A tu sam Pan Bóg — odpowiadam.

Właśnie rozpoznałem głos tego śmiecia, Walcotta.

— Halo?... Louise?

Wygląda na to, że jest osłupiały.

— Nie pójdziesz do raju — powiadam — bo za bardzo wyglądasz na ciotę. Żarty na bok. Tu Sam. Przyjeżdżaj. Louise chce cię zobaczyć. Cześć.

Odkładam słuchawkę i wykręcam inny numer.

— Policja?

Mam ich.

— Tu mówi życzliwy — stwierdzam. — Przyjedźcie w takie a takie miejsce (wyjaśniłem im możliwie jak najlepiej), a znajdziecie interesujące rzeczy. Przywieźcie ze sobą trumny.

Ponownie odkładam słuchawkę i wyskakuję zobaczyć co z Ritchie'em. Szukam i otwieram drzwi kluczami Violi. Znajduję go w drugim pomieszczeniu. Leży w kącie wyczerpany i cały w łachmanach. Nie ma już marynarki, koszula w strzępach, nie rusza się. Mam cykora. Klękam przy nim i przecinam więzy sztylecikiem, który zachowałem. Masuję go.

— Ritchie... Ritchie... budzisz się?

Zaczyna reagować. Jest sflaczały.

— To ja, Francis — mówię. — Francis. Twój brat, Ritchie, obudź się, gliniarze zaraz przyjadą. Trzeba pryskać.

— Gliniarze? — mruczy. — Mowy nie ma.

Dobra. Odnajduję mojego Ritchie'ego. Natęża się, a ja pomagam mu wstać.

— Moje nogi... — mówi.

Całe plecy ma pokrwawione od ciosów noża, które tamta dziwka mu zadała przy wchodzeniu po schodach. Na szczęście rany są powierzchowne.

Kulejąc robi dwa kroki.

— Jak tam sprawy wyglądają? — pyta.

Wyjaśniam mu wszystko w czasie schodzenia po schodach, zaś on opowiada jak rudzielec i dziewczucha ubrana na czarno ruszyli za nim w pościg samochodem. Swoim starym buickiem nie mógł nic poradzić i wysypał się na zakręcie.

— Byłem na wpół ogłuszony — mówi — więc capnęli mnie jak kwiatusek.

Opowiadam mu jak Donna utargowała kulkę w dudki oczyszczając teren przede mną.

— Ciężko? — pyta.

— Musisz sam to zobaczyć — odpieram.

Dotarliśmy do biura. W kącie, oparty o ścianę leży nieruchomo jęczący rudzielec. Na podłodze pseudo-Carruthers o prostackiej gębie. Na fotelu Jane, a na stole Donna. Nieruchoma. Ritchie pochyła się nad nią.

— Nic się nie da zrobić — mówi. — Ona jest załatwiona.

Dziewczyna uśmiecha się niewyraźnie, dotykam jej czoła. Wygląda jakby na nas patrzyła. Drzę mimo woli.

— To była niezła dziewczyna — mówię.

— Niezła — odpiera Ritchie jak echo. — To naprawdę szkoda, że one nie mają pojęcia. Za dwie godziny będzie martwa.

Schodzimy. Cóż możemy zrobić innego? Przecież nie będziemy czekać na gliniarzy.

Kluczyki są w samochodzie. To packard, ostatni model. Ludzie już ich wcale nie chcą, bo zbyt są podobne do karawanów, lecz nie zaskakuje mnie, że Ritchie dał się złapać. Wsiadamy do niego.

Nadal jestem w dziewczęcym ubraniu i zaczynam mieć już tego trochę dość... Mam dwie spluwy. Wrzucam je do pudła na desce. Skręcamy, by powrócić do Waszyngtonu.

— Co robimy? — pyta Ritchie.

Doprowadził się trochę do ładu i nie wiadomo skąd wytrzasnął marynarkę.

To prawda... nadal jestem poszukiwany przez gliniarzy. Och! Mam już tego wszystkiego potąd... przypuszczam, że to z powodu Donny opada mnie chandra.

— John — mówię do Ritchie'ego. — John Payne. Był na górze.

— Wiem — odpiera Ritchie. — Dan mi go pokazał przed zamknięciem.

Zasuwamy. Mijamy jakąś brykę.

— Stopuj — mówi Ritchie.

Nie trzeba powtarzać. Widziałem Walcotta.

Robię zwrot i przyciskam do dechy. Łapiemy go po trzystu metrach. Przyciskam jeszcze solidniej i zaraz przyklepiemy mu w tyłek. Ritchie wystawia rękę przez okno i wywala w niego cały magazynek.

Samochód Walcotta skacze do przodu. To lincoln i sądzę, że będziemy z nim mieli kłopoty.

— Grzej, Francis — woła Ritchie.

Zasuwam ile wlezie. Przejeżdżamy obok domu Louise. W takim tempie na pewno gdzieś się wypieprzymy, lecz Walcott za bardzo mnie słabi.

Osiągnąłem już maksimum i bardzo mizernie się do niego przybliżam, lecz nie da rady

nic zrobić.

— Przywał mu jeszcze Ritchie.

Jest o dwadzieścia metrów przed nami. Gdy tylko zdążyłem powiedzieć to Ritchie'emu, nasza przednia szyba rozpryskuje się po mojej prawej stronie. Tamci także strzelają.

Ritchie nie spieszy się. Celuje i wypuszcza pierwszą kulę. Pozostało nam ich jeszcze pięć.

Droga zaczyna kręcić i tamci muszą zwolnić, ja także, bo zaczyna nas trochę nosić.

— Grzej — mówi Ritchie.

Uderzenie w lewy wspornik przedniej szyby. Rozlega się przyjemna melodia. To mój braciak włączył radio.

— Naprzód — mówi. — Nie przejmuj się.

Przyciskam. Opony wyją. Zyskujemy sześć metrów.

Prosty odcinek. Jak burza przelatujemy przez jakąś wieś. Ponowne zakręty. Mały mostek.

Udało mi się zrównać z Walcottem. Pędzę i ocieram mu lewy bok. Ma cykora. Ritchie wali do niego ze spluwy dwa razy, a ja spycham go na prawo przed samym mostkiem. Jego samochód przełamuje barierę i w mgnieniu oka widać jak koziołkuje i rozsypuje się w kawałki.

Następuje wybuch, zapalił się zbiornik. Dobra rzecz.

Tak mówi mi Ritchie, podczas gdy ja próbuję wyprowadzić brykę z tych cholernych zakrętów.

Ocieram się o słup... Wóz kołysze się, lecz jedzie. Wreszcie mogę ulitować się nad przyspieszaczem.

— Jedź dalej prosto — mówi Ritchie. — Mam kumpla, który mieszka w pobliżu i będzie mógł nas przechować przez kilka dni.

Ten facet ma stada kumpli...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy pod względem fizycznym jak znalazłszy się u kumpla Ritchie'ego, pod solidnym prysznicem, z mydłem, ręcznikiem... no i z czekającymi na mnie po drugiej stronie męskimi ciuchami.

Bo, zdaję sobie sprawę, że na dłuższą metę w babskich szmatkach robię za złotą rybkę, to smutne, kiedy jest się tak milusim jak ja.

Jestem cały w mydlanej pianie, kiedy otwierają się drzwi.

— Spokojnie! — woła do mnie głos Ritchie'ego. — To ja.

A ja już prawie się zabunkrowałem. Z przyzwyczajenia.

— Dzwoniłem do taty — mówi Ritchie.

No... hm... ja bym się nie ośmielił.

— Co mu powiedziałaś?

— Wszystko — odpiera mój braciak.

— No i?

— No i powiedział, że niezła z nas para palantów.

— I miał rację.

Puszę się z dumy. To fajnie mieć niegłupiego staruszka.

— Spróbuje nas wciągnąć do policji jako inspektorów — dodaje Ritchie. — Lub jako śledczych z District Attorney. Ma tam jakiegoś bliskiego kolesia. A że jest to afera narkotykowa, będzie miał przy okazji reklamę. Zaś my będziemy kryci.

— Dobra — mówię.

— Mamusia kazała mi cię opieprzyć — dodaje.

— Też miała rację.

Sympatyczni rodzice. Byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby Donna się z tego wykaraskała... Cóż... No i jeszcze John Payne... Biedny John. To nasza wina. Cóż. Ale spędził miłe chwile, nim go to trafiło.

— Powiedziałaś mu, żeby załatwił to możliwie jak najszybciej?

— Zadzwoń do nas za dziesięć minut.

— Nic więcej?

— Ach! owszem... zapytał mnie jak to się stało, że zostawiłeś dziesięć tysięcy dolarów przyczepione w bryce do kolumny kierowniczej. Jakiś mechanik przyniósł mu je natychmiast.

Aż usiadłem.

— Są jeszcze uczciwi ludzie... — mówię.

— Dał mu pięćset w ramach rekompensaty — odpiera Ritchie. — I ma nadzieję, że się

zgadzasz.

— A co z Wu Changiem?

— Uprzedzono go — mówi Ritchie — znaczy się tatusia. Wu nic nie jest, a nasi rodzice wiedzieli, że cała impreza była wymyślona, żeby wciągnąć Louise Walcott w pułapkę.

— Cudownie!... — wołam. — Więc historia, którą wymyślił ten łajdak Driscoll była prawdziwa!...

W gruncie rzeczy powinienem był być może poinformować was na samym początku, że mój ojciec zarobił swoje pieniądze sprzedając przedestyłowany alkohol biedakom cierpiącym na pragnienie w czasie prohibicji, co jest, moim zdaniem, działalnością filantropijną. A później, w tak zwanym międzyczasie, został szefem policji w Chicago, co jest niezłym miejscem na trzaskanie szmalu, zaś obecnie udał się do Waszyngtonu na emeryturę. Toteż nie brak mu jak widać różnych możliwości.

No.

— Nieźle się napracowaliśmy — mówię do Ritchie'ego.

— Mowa! Tatuś jeszcze dodał, że o mały włos schrzanilibyśmy całą sprawę. Policja śledziła Louise już od miesiąca, a teraz powie więcej. W sumie, ponieważ zlikwidowaliśmy mniej więcej całą bandę, nie są zbyt wkurzeni, ale co by to mogło być!...

Ha! Dajmy temu spokój.

— To wszystko? — pytam.

— Wszystko.

— Przynieś tu telefon.

Ritchie wykonuje. Wykręcam numer Gai.

— Halo?

— Halo, Gaya?

Rozpoznałem jej głos.

— Francis Deacon. Wskakuj w brykę i przyjeżdżaj.

— Dokąd? — pyta.

— Do Bena Kirby. Znasz? Mam coś dla ciebie.

Odkładam słuchawkę i zaczynam sobie nieco masować mięśnie i stawy. Jestem nacętkowany siniakami i guzami, zaś moja twarz jest napuchnięta mniej więcej wszędzie. Gaya musi być w transie, bo nie ma tego świństwa do wstrzyknięcia. Będzie jej potrzebne dwadzieścia minut, nie więcej.

Ritchie także się właśnie sobą zajmuje, cały jest pokryty plastrami.

— Ritchie! — wołam. — Czujesz się na siłach, żeby jej dołożyć zdrowia?

— Komu?

— Tej bździągwie Gai — odpowiadam.

— Hm... — mówi — tej akurat wolałbym złożyć wyrazy szacunku.

— Świetnie. Jedno drugiemu nie przeszkadza — stwierdzam.

Masujemy się i pielęgnujemy, a w dwadzieścia minut później podjeżdża jakiś wóz. Gaya szybko do nas dotarła; w tej chwili obaj jesteśmy w pokoju, który dał nam Ben, w bieliźnie i szamiemy.

— Dzień dobry — mówi. — Masz?

— Chodź dać nam buzi, koteczku — odpieram. — Tak się nie wchodzi do ludzi.

Jest cała drżąca i kiepsko się czuje. Ja zaś mam wrażenie, że moje lekarstwo jest lepsze.

— Ritchie, zamknij drzwi.

Wykonuje posłusznie.

— Rozbieraj się Gaya — ciągnę dalej.

Ponieważ się ociąga, chwytam za coś wystającego i drę wszystko na strzepy. Ritchie przychodzi mi z pomocą.

— Pod prysznic — mówię do niego.

Ciągniemy ją pod prysznic i puszczaemy na nią solidny strumień, i, wiercie mi, ta dziewczyna pod wodą jest jeszcze ładniejsza niż na powietrzu.

— Nie jesteś większym nałogowcem ode mnie — ciągnę dalej. — Chciałaś się tu zgrywać na wielką narkomankę. Bez sensu. Takie małe odświeżenie jak to, oto czego ci trzeba.

Po czym wysyłam ją na łóżko solidnym kopniakiem w tyłek. Dziewczyna całkiem traci głowę i zaczyna płakać.

Spuszczam zasłonę, bo jest to właśnie stosowna chwila, żeby ją pocieszyć.

Zresztą historia jest prawie zakończona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

No cóż, przeczytawszy moje zapiski, mam wrażenie, iż ani razu nie powiedzieliście

sobie, że napisał to jakiś facet po studiach. Kwestia słownictwa? Nie. Moim zdaniem brak tu przede wszystkim łacińskich cytatów. Na początku trochę się starałem, lecz widzę, że dałem się wciągnąć i pomimo startu w cholernie wygładzonym stylu, natura wzięła górę.

Trudno. Lecz teraz chciałbym podkreślić wymowę moralną tego całego biznesu.

Najważniejsze, jak sami widzicie, to być porządnym. Nie jestem dokładnie kimś, kogo nazywa się dobrze ułożonym facetem, lecz wszystko, co uczyniłem, było szczere i w porządku.

No i poza tym, należy szanować więzy rodzinne. Dałem mojemu braciakowi skorzystać ze wszystkiego. Dobrego i złego... lecz zawsze jak brat bratu. Ręka w rękę.

Powiecie mi, co do myszek, że trochę byliśmy dla nich za ostrzy...

Lecz, co chcecie, przecież one i tak nie mają pojęcia.